

POLSKIE OPOWIADANIA WSPÓŁCZESNE

Redaktor serii: Jacek Kajtoch

Jan Papuga

SINGSIARZ

Wydawnictwo Literackie Kraków

Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 1983

Projekt okładki i układ graficzny
Janusz Bruchnalski

Ilustracja na okładce
Maria Banach

Redaktor
Marek Halawa

Redaktor techniczny
Maria Banach

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie, Kraków 1983

Wyd.I. Nakład 30 000 + 283 egz.

Ark. wyd. 5,3. Ark. druk. 9,25

Papier druk. mat. kl. V, 92X114 cm, 65g.

Oddano do składania 28 IV 1982

Podpisano do druku 29 XI 1982

Druk ukończono w maju 1983

Zam. nr 176/82. K-9-148 Cena zł 35.—

Drukarnia Wydawnicza, Kraków, ul. Wadowicka 8

ISBN 83-08-00941-7

GUADALA ARA! GUADALAJARA!

Ciało moje i myśli przepełnione były bólem, aż jęk rozsadzał głowę. Chwilami byłem na nic nieczułą bryłą lodu, to znów krew tętniła żarem jak płomień. Drżałem. Paleniska szumiały jak żywioł. Za stalową ścianą pasł się nim łomot tłoków — znaczący ponury rytm mojej męki. Przy środkowym kotle stał olbrzymi Kola. Spoglądał w popielnik i mruczał coś do siebie czy do ognia. Pod jedną burtą kwadratowy Funio jak niedźwiedź przestępował z nogi na nogę i oglądał się jak za pajdą z miodem. Sidorowi twarz złagodniała niczym dziecku, wyrośnięty był jak Kanak... Potężne, nagie torsy wypoczywały w łatwej wachcie. Odbiłem klapy „rękawów” i węgiel sam sypał się pod kotły. Można było odetchnąć...

To było tak, jakby umarła mi matka, jakby wymarła mi cała rodzina. Mój ojciec, człowiek nieskończonej dobroci, tę samą dobroć wpajał mi przez całe życie. To wszystko nieprawda, był w błędzie. Można ludzi zabijać jak muchy. Odwracałem się, kiedy ucinano łeb kurze, a teraz wziąłbym topór i rąbałbym ludzi.

Miałem trochę ponad dwadzieścia lat, byłem węglarzem i pracowałem wcale nie lżej od Koli. Kobiety mogą się wypłakać, mężczyźnie, jeśli tak się podda, świat wali się na głowę.

6

Do Koli przytoczył się Funio, podszedł Sidor. Pokazali sobie wesołe gęby, potem spoglądali na mnie, jakby zapraszając. Nie miałem ochoty.

– Nic nam dziś nie powiesz? — wołał Kola.

Podszedłem.

– Co wam powiedzieć? Czy jak Niemcy i Włosi zbombardowali Guernikę i Almerię?

– Ano! — domagał się Funio.

Mówiłem im o Guernice, obróconej w perzynę przez włoskie i niemieckie samoloty, o Almerii, bombardowanej przez „Deutschland”.

– I to tak we śnie; niektórzy budzili się jeszcze na swoją śmierć — ruszył wyobraźnią Kola.

– Kobiety, dzieci... — dopowiedział Sidor.

Mimo trzydziestki był zupełnie chłopięcy.

Kobiety były, by mógł je kochać i dawać im rozkosz.

– Łotry — wymruczał Kola.

– I to Niemcy? — nie mógł pojąć Funio. Pochodził z Pomorza; był zapatrzony w ich kulturę.

– Hitlerowcy, faszyci! — odpowiedział Kola, jakby to był inny gatunek.

Posmutniały twarze. Kola przeklął, chwycił łopatę i ze złością wydzwaniał nią o kocioł na podsypkę. Ujęli swoje i wzięli się do roboty. Twarde, zawzięte zmaganie się z ogniem przynosiło ulgę dławiącej ich ludzkiej męce i śmierci. Byli bezbronni, bezsilni i gniewni. Wypowiadali parę prostych słów bez bluźnierstw i przekleństw, by nie urazić zmarłych. Trafił się dobry węgiel i do samego końca wachty nie zaznali radości łatwego palenia.

Po wachcie siedzieliśmy na materacach i paliliśmy papierosy. Obszerne podwyższenie rufowe drgało tro-

7

chę od mlących śrub, ale przyzwyczajeni, nie dostrzegaliśmy tego. Statek sunął na największej szybkości, bez najmniejszego kołysania, jakby stał w miejscu.

Głęboki, ciemny błękit wody i jaśniejszy nieba, z łagodnym blaskiem drżących gwiazd. Morze tchnęło orzeźwiającym, mokrym ciepłem. Noc jak puszysty kot ocierała się o nasze czyste już skóry. Z dolnego pokładu dochodziło zawodzenie w hibru *. Z otchłannego smutku przebijała najczystsza radość. To pasażerowie, „wieczni tułacze”, płynęli do swojej Ziemi

Obiecanej. Przy schodkach, na samym brzegu wzniesienia, wyłoniła się samotna kobieta, niepewna i ciekawa. Nikt nie odezwał się ośmielająco, by została. Sidor podszedł i oparł się o reling, ale więcej niż na wodę spoglądał na pokład, na pary siedzące w leżakach, splecione w objęciach rąk. Wrócił po chwili i wymówił cicho:

– Ale tam są śliczne dziewczyny!

– Gdzie? — pytał Funio.

– W Andaluzji.

– Ooo! — zawtórował Kola.

Tam ogniste dziewczyny w zapamiętaniu oddawały się płomiennym rytmom fandango, w kaskadach kastanietów, w szumie gitar. Czyste, perliste głosy unosiły się w ekstazie, w obejmujących męskich przyśpiewkach. Potem zamierały w pocałunkach. Zakołysała mi się śródziemnomorska noc. Teraz, w tej chwili, zabijano te dziewczyny jak muchy. Ich chłopcy odrzucili gitary i z karabinami w rękach, w ostatnim krzyku, rzucali się w objęcia śmierci.

– Ale tam są dziewczyny! — powtórzył Funio.

* w języku hebrajskim

8

– Daj spokój — strofował go Kola — nie są

najszczęśliwsze.

Legliśmy na materacach, aż wszystko okrył dobry sen.

Węgiel nie sypał się już sam, trzeba go było brać z wielkiego bunkra. Nakładałem czubate łopaty na żelazną taczkę, ile się dało. Chwytałem drewniane uchwyty, prostowałem grzbiet i napierałem całym ciałem. Ostrożnie przemykałem wąskim przejściem pomiędzy parzącymi kotłami i jednym ruchem, przez koło, wywracałem taczkę. Pod paleniskami było niewiele węgla. Nadążałem, ale chciałem zrobić zapasik, by odsapnąć trochę. Z pustą taczką pędziłem biegiem, i znów od nowa; nakładałem uważnie, by po drodze nie usypywał się czub i by bryły nie zaśmiecały mojego toru. Nieraz o mało nie wybiłem sobie zębów. W wąskim przejściu syczałem z bólu, znów otarłem się o rozpalony kocioł. Z początku na obu ramionach miałem skorupy oparzeń, dopiero niedawno wygoiły mi się. Spływałem potem, aż bluzgało w buciorach, choć na każdą wachtę starannie owijałem stopy świeżo wypranymi, suchymi onucami z białej flaneli.

– Pływasz? — zawołał Sidor.

Strącałem pot ze łba, by nie ślepił. Było to prostsze niż wycieranie szwajstukiem *, jak robili palacze.

– Nieźle biega — śmiał się Funio.
– Jak szprinter — dogadywał Kola — ze dwa lata, a wyślemy go na Olimpiadę.
Parskałem im śmiechem w nos i pędziłem jeszcze szybciej.

*mały ręcznik

9

– Nie chciał być marynarzem od strugania kartofli

– dobiegł mnie głos Koli.

Był to cholerny czas. We dwóch w dzień i noc obieraliśmy ziemniaki dla tysiąca pasażerów i dwustu osób załogi. Miałem ziemniaczaną skórę i bałem się, że mi kartofle wyrosną na dłoniach. Przeklinałem Kolumba i odkrycie Ameryki. By nie przyzwycząić się do siedzącej roboty, sam najwięcej natrząsałem się z siebie. Aż padł mój poprzednik z obecnej pracy. Przewrócił się i nie mógł wstać. Wyciągnęli go na wierzch w wielkim kiblu od popiołu, a ja zszedłem w dół, na jego miejsce. Teraz byłem między chłopami z żelaza. Byli ponurzy, niemi i dumni ze swojej roboty. Kiedyś jakiś zwariowany pasażer popchnął stewarda. Zaczęto narzekać i jęczeć, może poszłoby wszystko w niepamięć, ale palacze zebrali się w mesie i jednego spośród

siebie wysłali do kapitana, że proszą go do siebie. Kiedy przyszedł, Kola wymruczał niskim głosem:

– Tu nie ma nic do gadania. Musi przeprosić.

– Może być gorzej — dorzucił ktoś.

– Rzucimy sukinsyna za burtę — jeszcze inny.

– No, no, panowie, jeszcze ja tu jestem — odpowiedział spokojnie, powiódł po nas władczo jasnymi oczami i wyszedł.

Po dłuższej chwili przyszedł jego oficer.

– Przeprosił — powiedział miękko i odszedł.

U kapitana cieszyliśmy się łaskawymi względami. Czasami w codziennej inspekcji pytał nas o jedzenie, doradzał najlepszą wołowinę, kury, że niby można wybrać. Nikt prócz palaczy nie śmiał wtedy zagadać do niego. Zawsze wchodził pierwszy, w śnieżnym uniformie kapiącym od złota jak w ornacie. Za nim kierow-

10

nik działu, starszy oficer, lekarz, ochmistrz, któryś z młodszych oficerów i pisarczyk.

Rozpoczął uroczystą celebrację z kardynalskim namaszczeniem. Nie uśmiechał się nigdy. Mózg i wola, wokół niego oficerski rozrząd. Do dziś nie mogę pojąć, jak można znieść taki stan ciągłego napięcia. Mieliśmy

najtroskliwszą opiekę, jak okazałe woły od najcięższej roboty. Kapitan Stankiewicz, „Byk”, były wielkorządca na Rusi, ostatnio wódz na „Polonii”, Wielki Pan, Dobry Pan, potężny filar bożego i cesarskiego porządku, ostatni z Horeszków w naszej flocie.

– Starczy już — wołał Funio.

Nawoziłem węgla aż po popielniki. Wytarłem twarz. Nabierką sięgnąłem z kubła cytrynowego napitku z lodem. Przeniknął mnie dobry chłód. Zeszliśmy się, by popatrzeć na siebie w tej czarnej otchłani i by chociaż słowami z niej wybiec.

– Mów, mów — dopominali się Funio i Sidor.

– Zrobi wam się smutno — opędzałem się.

– Mów, mów — dopominali się Funio i Sidor.

Mówiłem o umęczonym Oviedo, Santander, o Barcelonie i o Madrycie, strząsającym z siebie całe armie, o dzielnej Guadalajara, o Ebro. O bohaterskich miastach, rzekach i górach, o Garcii Lorce. Zapadało w nich.

Kiedy umorusani odpoczywaliśmy po wachcie na spardeku, mówili do siebie:

– No pasaran!

– Guadalajara! Guadalajara! — wołał Kola.

Nigdy nie mogłem się dość napatrzeć na podsypkę. Otwierali paleniska, aż ślepiło oczy. Buchała spiekota. Rozciągali gracami biały żar i

brali się do łopat. Płyn-

11

ne ruchy wyznaczały łuk lotu węgla tak, jak chcieli, nakładał się wtedy równą warstwą.

Skrecające się nagie torsy we wszystkich odcieniach płomiennej czerwieni, zacięte twarze, przymrużone oczy, by ich nie wyżerało gorąco.

Funio ze złością robił na siłę, Kola lekko, a Sidor bardzo zręcznie, tylko, biedny, miał delikatne wargi i zagryzał szwajstuk. Wszystko jak najszybciej, by nie spadła para. Potem odkładali łopaty i łagodnieli. Pędziłem z taczka i rosły nowe góry pod kotłami. Całą trójką skupieni przy Koli wołali:

– Guadalajara! Guadalajara!

Znaczyło to, że starczy węgla, że wołają mnie do siebie, i dużo, dużo więcej. Odstawiłem taczka.

– Chce wam się śpiewać?

– Tak wpadło w ucho — odezwał się Kola. — Jak to tam było od początku?

– Po wyborach socjaliści byli w większości.

– W Kortezech — wtrącił Kola.

– W Kortezech. Chcieli ziemię zabrać obszarnikom i ukrócić burżujów. Wtedy ich Franco ze swoimi dzikusami rozpoczął juntę w Maroku. Wylądował pod osłoną hitlerowskich i faszystowskich wojenników. Wojsko w

większości poszło za nim. Miał za sobą oficerów.

– Zawsze sukinsyny — bluznął Funio.

– To ich policjanty — dodał Kola.

– Niemcy i Włosi wozili im broń i amunicję.

– Przecież na każdym takim statku był przynajmniej jeden komunista. Wystarczy jedną większą kulkę przynieść w szmatach i rzucić pod kocioł, jest dużo sposobów. — Kola nie był komunistą, ale miał do nich urazę, że tak nie robili.

12

– Potem przyszły całe armie faszystowskie, ich lotnictwo, korpusy pancerne, okręty wojenne...

– Kortezy nie pomogły — wyskoczył Funio.

– Łotry, chcą zniszczyć biednych ludzi! — bluznął Kola.

Mówili o wojnach. Byli najzupełniej pewni, że każdą, na którą trzeba przez morze wozić broń, marynarze mogliby skuć, wysadzając statki w powietrze.

Wachta miała się ku końcowi. Spieszyliśmy się, by ją dobrze zdać. Na następnej podeszli do mnie już po pierwszej podsypce.

– No i jak tam, dają sobie radę z taką siłą? — niepokoił się Kola.

– Nie wszystko wojsko poszło z Frankiem.

Radiotelegrafiści na okrętach odbierali depesze z Madrytu. Marynarze chwyтали karabiny i siłą zajmowali mostki. Wielu oficerów poszło za burłę — flota jest czerwona. Powstali katalońscy robotnicy, górnicy Asturii, ogromna większość narodu. Mają niezwykłą kobietę, nazywają ją Passionarią. Jest głosem kobiet i matek całej Hiszpanii. Baskowie z Matką Boską na piersiach szli na guerrilę, w góry.

– Dobrzy ludzie — wymówił Sidor.

– Z całego świata ściągali robotnicy do brygad międzynarodowych. Włosi Lista idą na faszystowskie regularne armie najchętniej i z największą zawziętością. Są i nasi Dąbrowszczacy ze Świerczewskim.

– Kozietulscy! — zaśmiał się Sidor.

– Daliby sobie radę, gdyby mieli czym. Wstrzymano dostawę broni. Burzuje założyli Międzynarodowy Komitet Nieinterwencji.

– A Niemcy i Włosi? — dziwił się Funio.

–

13

– Wszawa polityka! — bluznął Kola.

– Guadalajara! Guadalajara! — zawołali i rozeszli się.

Poszedłem z Sidorem czyścić palenisko. Sidor skupiony nakładał skórzane rękawice o jednym palcu. Otworzył drzwiczki. Węgiel przepalił się

zupełnie, aż stopił się w biały żar bez płomyków. Przegarniał go na jedną stronę ciężkim drągiem o spłaszczonym końcu, podważał i łupał szlakę oblepiającą ruszt. Wygarniał ją gracą na zewnątrz, białą i ognistą. Odpryski odkopywał ciężkim butem i znów przystępował bliżej. Buchała spiekota i kwaśny czad kręcił w głowie. Zalewałem to wodą z kubła, by nas nie podusiło. Woda zamieniała się w parę, parzącą, jeśli nie odskoczyłem w czas. Potem Sidor przegarniał cały żar na oczyszczony ruszt i brał się do drugiej połowy. Kiedy i ta była czysta — przesuwiał ogień na środek i podsypywał trochę węgla, by szybko się zajął. W małych odstępach podsypywał jeszcze ze dwa razy, aż ogień znów narósł. Szybko uprzątałem szlakę, by pomóc innym. Wśród tego jeździłem taczka, aż dudniło.

Najwięcej dawało nam w kość czyszczenie palenisk. Po nich dopiero ogień buzował, ale kiedy byliśmy najwięcej zmordowani, ktoś wołał nagle:

– Gnadalajara! Guadalajara!

Odpowiadaliśmy mu takim samym, mocniejszym przyśpiewem.

Byłem obarczony niepisany - obowiązkiem gadania im w kotłowni o Hiszpanii. Pożyczałem od oficerów gazety przysyłane z kraju. W

portach kupowałem angielskie i amerykańskie.
W Palestynie Żydzi zaczęli bić się z Arabami
o ziemię, a tyle jej tam było niczyjej.

14

Jak dzieci, które drapią się czasami, gdy nie mogą siusiać do wspólnego dołka. Starzy ludzie nie są mądrzejsi. Głusi na wszystko, nawet na Hiszpanię, grzebią sobie radośnie w innych krajach i pogdakują niefrasobliwie. Kury krzyczą dopiero, kiedy tracą łby.

W Konstancy braliśmy pasażerów. Oszalały podróżą do raju tłum. Hotelowi i pokładowcy mieli pełne ręce roboty. Nas to nie obchodziło. Z podwyższenia rufy oglądaliśmy w niemym zadziwieniu mrowiący się pokład; szum rozmów, głosy wzbijały się aż w ekstazę. Czekaliśmy cudu. Zdawało nam się, że Żydzi uniosą się w górę i polecą bez nas, wprost do Ziemi Obiecanej.

– A może polecimy całą „Polonią”? Trzymać się dobrze relingu, chłopaki — mruczał Kola.

Żałowaliśmy ich. Najgłupszy z nas wiedział, że ich Ziemia Obiecana obficie spłynie nie tylko potem, ale i krwią. Ci mądrzy ludzie odczuwali jednak ptasią radość.

Byłem skołatany, miałem dość Hiszpanii. Kiedy wreszcie przestaniemy być ptakami, kurami i psotnymi dziećmi? Kiedy każdy z nas zacznie poprawiać zło u siebie, a jeśli pokaże się gdzieś większe schorzenie, kiedy weźmie je za chorobę nas wszystkich? Kiedy wreszcie uczujemy, że cała ziemia jest naszą wspólną ojczyzną?

Z czerpaka w dźwigu leciał węgiel na bunkier. Dudnił głucho. Cieszyłem się, że znów będzie łatwe trymowanie.

W kotłowni był chłód. Tylko jeden kocioł pod parą, na prądnice i ciepłą wodę. Bawił się przy nim Kola. Dźwigi pracowały z nabrzeża. Przy drugim, wygaszo-

15

nym kotle Funio wymieniał ruszty w palenisku i naprawiał mostek, murował nowe, szamotowe cegły. Pod trzecim staliśmy z Sidorem na deskach, przełożonych na kobyłkach. Pchałem w płomieniówkę okrągłą szczotkę na długim drucie. Wyciągałem ostrożnie, by nie zaprószyć oczu. Sidor robił to samo. Z początku było nieprzyjemnie. Sadze oblepiały nas całych, pluliśmy i smarkaliśmy nimi. Umęczeni, spoglądaliśmy po sobie, ale potem śmialiśmy się do siebie jak diabły. Murzyni pozazdrościliby nam koloru. Sidor był jak Watussi.

Funio mieszał w kubie zaprawę, a Kola jak Lucyfer mruczał śpiewnie. Doszedł nas głośniejszy szum mechanizmów. Z maszynowni wyszedł wysoki szef — inżynier w niepokalanej bieli z obfitym złotym szamerunkiem. Za nim, jak gronostaje, przemknęły kobiety w jedwabnych sukienkach. Znieruchomiały na chwilę,

potem zaczęły rozglądać się. Młodsza była wystraszona. Starsza w pełnym kobiecym rozkwicie przyglądała się Sidorowi i uśmiechała się swobodnie. Szef spojrział na nie, skinęły głowami, pomógł im wyjść.

– Nowe pasażerki. Nasamprzód oprowadza je — powiedział Kola.

– Ale mu się przyglądała! — zarżał Funio.

– Wolałaby z tobą, Sidor, legnąć na węglu niż z tym zdechlakiem w piernatach.

– Szef, inżynier, głupstwa pleciesz, Kola — opędzaj się Sidor.

Skończyliśmy oczyszczanie rurek. Zeszliśmy, zapaliliśmy papierosy.

– Jak tam nasi Kozietulscy? — zaczynał Kola.

– Dać im samoloty, tobyś zobaczył, jedna Somosierra! — porywczo, wesoło bronił Sidor.

16

– Lepiej by pohulali niż tamci na koniach — przywtórzył mu Kola.

– Nasi mają dryg do latania! — cieszył się Funio.

– Najlepsi są górnicy, swoimi patyczkami dają radę czołgom — z uznaniem mówił Kola.

Z maszynowni wypadł czwarty mechanik, Paulus. Funio ruszył nozdrzami, że śmierdzi, i ucięliśmy rozmowę. Mechanik obejrzał naszą

robotę i wyszedł.

– A tych szczeniaków nie wykurzyli jeszcze! — zawołał Kola.

– Jakich? — pytał Funio.

– No, tych zapieprzonych lwów Alkazaru.

– Jeszcze nie — odpowiedziałem.

– Można by zrobić podkop — myślał głośno Kola — i dynamitem! — Zgarbił się, jakby niósł go na swoich ogromnych barkach. — Co tam nasi robią?

– A ty zrobiłbyś to? — zapytałem.

– Czemu nie? — odpowiedział nieśmiało.

– Łatwo mówić, bo tam nie jesteś — gasił go Funio.

– Łatwiej zrobić, niż dostać się tam.

– A pojechałbyś, Kola? — cisnąłem go.

– Pewno!

– Wszyscy pojechalibyśmy — wymówił Funio, a Sidor przywtórzył.

Usłyszeliśmy na szczeblach schodzącą nową wachtę.

– Guadalajara! Guadalajara! — witał ich Kola.

– Guadalajara! Guadalajara! — odpowiedzieli mu.

– U ciebie, Kola, ciągle tylko o Hiszpanii!? — dziwił się ober nowej wachty.

– A u was o dupie Maryny — przymrużył do nas

oko. — Świnicie pod nawiewnikiem, by zlatywały się pasażerki z pokładu. My też, ale cicho.

Już piął się po drabinie, my za nim.

Przez odbite klapy „rękawów” znów sypał się węgiel. Był jakiś za dobry. Lał się, że nawet sztuczny ciąg nie bardzo pomagał. Palacze często chwyтали drągi z wystającymi nożami i przerzynali ruszty z popielnika, by paleniska chwyciły powietrze.

Po podsypce Kola usiadł na wielkiej bryle węgla, okrytej przerzuconym workiem i wsparł głowę na dłoni jak umęczony jaskiniowiec.

Podeszliśmy do niego. Czarna, zgębiona twarz i złe oczy.

— Co tak dumasz? — zaniósł się głos Sidora.

— Wojna rozłazi się jak wszy — dobył się z niego pomruk.

— Czasami jak cholera i ogień — poprawił Funio.

— Ale ta w Hiszpanii nie jest dobra.

— Żadna nie jest dobra.

— Tam idzie o naszą skórę. Potem hitlerowcy przyjdą do nas.

— Jeśli tam wygrają... — zastrzegł się Funio.

Zaległa cisza czarnych przewidywań. Kotły szumiały cichym jękiem. Z najbliższego

paleniska sypnęły się skry.

– Już wygrażają. Przecież to jasne — zdjął dłoń z twarzy, pozbył się zasłony.

– A nasz rząd trzyma z Frankiem i z hitlerowcami! — wołał Funio.

Nieraz w kotłowni było ciężko, choć dobrze też było. Teraz poczuliśmy się osaczeni i bardzo biedni, zdławieni w głębokiej czeluści. Dla nas były tylko łopaty, ciężkie żelazne drągi i węgiel. Byliśmy odsądzeni od

myśli. Przemądrzała racja stanu była dla
wybranych. Znaczyliśmy tyle co trawa.

– Guadalajara! Guadalajara! — zawołał Kola.

– Guadalajara! Guadalajara! — odkrzyknęliśmy i
braliśmy się do roboty.

Syciliśmy ogień jak diabły, znajdujące w tym
ulgę. Ale kiedy mieliśmy wolne ręce, otchłań
cisnęła nas jak potępieńców. Mordowaliśmy
wachtę jak nigdy.

Zmieniały się morza, kraje i porty. Aż raz, kiedy
w Pireusie wyszedłem z kotłowni i usiadłem na
spardeku, by wypalić papierosa — zdebiałem.

Tuż za naszą rufą, na białym obleniu średniego
pasażera zobaczyłem dużą cyrylicę, a pod nią
mały napis: „Swanetia” — Odessa! Byłem
bardziej wzburzony niż kiedyś na Akropolu.

Przy mesie przedarłem się przez gromadę
obdartych Greków z lądu, wołających po polsku
„daj jeść”, i popędziłem do kabiny. Na brudną
skórę wrzuciłem dunkry i spłowiałą koszulę bez
koloru. Chwyciłem paczkę papierosów i
wybiegłem.

Darłem się przez wielotysięczny tłum,
przyglądający się w serdecznym zachwycie
białemu pasażerowi. Znad głów gapiących się
spoglądałem w ostrym napięciu. Za liną, na
pustej przestrzeni na całej długości statku cho-
dzili umundurowani marynarze greccy z

karabinami o nasadzonych bagnietach. Przy trapie kilku policjantów. Na pokładzie oficerowie emigracyjni i celnicy. Nic nie uszło mojej uwagi, na wszystko byłem uczulony bardziej niż klisza. Może podświadomie wyczułem, że pewność siebie strażników jest tak wielka, iż zaślepia ich.

Na pokładzie przy trapie pojawiła się gromadka radzieckich marynarzy. Oficerowie emigracyjni uważnie

19

przeglądali przepustki i dowody. Celnicy macali ich, zaglądali do kieszeni. Miły obrzęd przed zejściem na ląd. Potem wolno, jeden z drugim, schodzili radzieccy marynarze po trapie, kierując się do liny wprost na mnie. Przeszli ją i kiedy ostatni miał ją przekroczyć, coś powiedział w ich języku. Zatrzymali się i zaczęli wracać. Było ich czterech czy pięciu. Wsunąłem się w sam środek, idąc jak oni z twarzą jak oni. Pilnujący ciągle mieli ich na oczach, przepuścili ich i mnie z nimi. Skierowałem się z gromadką w stronę rufy. Kiedy schodzili do kubryku, odszedłem rufą na niewidoczną stronę i wróciłem na śródkręcie. Byłem sam. Schować się — pomyślałem. Nic łatwiejszego — Guadalajara! Guadalajara! — doszło mnie z wnętrza „Polonii”

wołanie mojej wachty.

Zacząłem rozglądać się za kimś z załogi. Od dziobu nadeszło trzech chłopaków z farbami i pędzlami. Kiedy mieli mnie mijać, zatrzymałem ich.

– Prowadźcie mnie do kapitana. Dwaj młodszy spojrzeli pytająco na starszego kolegę.

– Kapitana nie ma, poszedł na ląd — odpowiedział mi po polsku, z ukraińska.

– To do jego zastępcy.

– Poczekaj — postawił farbę i odszedł.

Dwaj młodszy też odstawili pudełka. Przyglądali się ze zdziwieniem, uśmiechaliśmy się do siebie.

Nic nie mówiłem, by skupić się na najważniejszą chwilę.

– Chodź! — przywołał mnie z przejścia

Ukrainiec i wskazał starszego oficera.

— Jestem Polakiem, trymerem z tej „Polonii” leżącej przy was. Chcę jechać do Hiszpanii.

Ukrainiec powtórzył po rosyjsku, uśmiechali się przyjaźnie.

– No i co? — pytał dalej.

– Jest nas kilku w kotłowni. Weźcie nas do Odessy, a stamtąd jakimś statkiem do republikanów!

Ukrainiec tłumaczył, a starszy oficer przeczył ruchem głowy.

– Nie — odpowiedział krótko.

– Jak to nie?! — wybuchłem. Zapadli się w sobie, a potem te nieszczęsne ruchy głów.

– Nie — powtórzył Ukrainiec.

– To weźcie mnie samego. Nikt nie wie, że tu jestem. Mówili coś ze sobą, rosła we mnie nadzieja.

– Powiedz, jak tu wszedłeś — zapytał Ukrainiec. Opowiedziałem z przejęciem. Wierzyli mojemu szczeremu zdecydowaniu, ale na przekór wciąż powtarzali „nie”.

– To dajcie mi jakiś kontakt. Stąd na pewno odchodzą statki do Hiszpanii.

Te same ruchy głów i ciągłe „nie”.

– Sam się tu schowam.

Zakłopotane twarze i głos Ukraińca:

– Musisz zejść.

– Jesteście nie komuniści, a dranie! —

krzyknąłem. Otrząsnęli się i patrzyli na mnie z

bólem. Znów mówili o czymś ze sobą, a Ukrainiec do mnie.

– Nie możemy ci pomóc.

Spojrzałem na nich ze wzgardą i odszedłem. O niczym nie myśląc, przeszedłem swobodnie wszystkie ronty pilnowaczy i znów znalazłem się za liną.

21

Uczułem zmęczenie po napięciu, byłem po niełatwej wachcie. Powlokłem się wolno na mój statek.

W kotłowni o niczym nie mówiłem, nie chciałem ich męczyć. Nie odpowiadałem, kiedy wołali „Guadalajara!”, byłem najcichszy. Teraz oni mnie męczyli. Mówili o wszystkich zwycięstwach i klęskach. Tych ostatnich było coraz więcej, aż Republika upadła. Nastąpiły smutne wachty. Ale czasami wołali jeszcze:

– Guadalajara! Guadalajara!

Poszedłem na inne statki. Potem przyszli hitlerowcy, rozdarli moją ojczyznę i jak krwawy ochłap chcieli wdeptać ją w błoto. Przypomniały mi się proste, przewidujące słowa ludzi z kotłowni. Były rozumniejsze od racji stanu przemądrych, objawionych.

Nie gniewam się już na marynarzy ze „Swanetii”. Nie mogli inaczej postąpić, obawiali

się kogoś nasłanego. Trzeba mi było rzucić „Polonię” w Pireusie, zablindować się na statek idący do Hiszpanii lub w pobliże — i dalej! Albo brzegiem Północnej Afryki aż do Ceuty. Bałem się drogi, wilczego darcia się poprzez granice, przez wojsko, policję, poprzez mury niehumanitarnych praw. Byłem słabego ducha i słabiutkich uniesień — anieli takich nie przenoszą.

Ogarnia mnie wstyd, kiedy słyszę wewnętrzny głos najpiękniejszego braterstwa biednych.

– Guadalajara! Guadalajara!

22

„POLE”

– „Pole”, koło — mówił szturman półgłosem, tuż przy nim.

Przestał patrzeć na wodę, odwrócił głowę. Było ciemno. „Czas na ster” — pomyślał sobie. Kiedy było widno, szturman często nie wymawiał nawet krótkich słów. Porozumiewali się doskonale oczami lub ruchem głowy.

Wszedł do sterówki. Marynarz, stojący przy kole, urągał śmiesznie. — Idzie jak tramwaj — podał wyraźnie kurs i wypadł na skrzydło.

Położył dłoń na najwyższej szprysze koła. Na kompasie kurs się zgadzał. Wbił wzrok w czarną

szybę, słabo było widać cień idącego przed nimi okrętu. Sterował na kompas, statek dobrze słuchał steru. Gdy potrzeba było, wolno przekładał z ręki do ręki szprychy koła. W sterówce nie było zupełnie ciemno. Tarcza biegów na telegrafie, lichy oświetlona, rzucała skąpe smugi światła na ścianę, podłogę i sufit. Smugi odbijały się od nich rozpraszając ciemność i tworząc mrok, w którym oczy łatwo się orientowały. Okapturzony kompas mdławo oświecał spokojną twarz. Oczy, zawsze pełne życia, zarzyły się teraz marzącym spokojem. Były jednak uważne, pilnowały biegu statku. Średnio wysokie czoło pogrążone było w myślach, orli, drapieżny, ale wesoły nos nadawał twarzy nieuchwytną, wyzywającą śmiałość. Szczeka nieduża, była jednak twarda, męska.

23

Wiatr zatrzęsł szybami. Podniósł głowę, ogarnął oczami sterówkę i znów patrzył w kompas. Wiatr wzmaczał się coraz mocniej. Statek ożył, pochylał się lekko na burty i szumiał wiatrem. Za szybami ciemność ustąpiła. Od czasu do czasu pokazywało się światło księżyca, po czym rozlewało się na wodę. Księżyc przez szyby oświeciał podłogę sterówki, czasami się chował, przysłonięty większą chmurą.

Sterował teraz na idący przed nim okręt, który doskonale widział wraz z całą kolumną. Z boku słyszał szturmana:

– Po co ten księżyc wylazł?

– Obyłoby się bez niego — odpowiedział — romansu nie będziemy odstawiać.

Od przodu, z boku konwoju, doszły ich odgłosy wybuchu bomb głębinowych, później odczuli drgnienia statku.

Szturman wyszedł na skrzydło, od zewnętrznej strony konwoju, skąd dochodziły wybuchy.

Księżyc pięknie przyświecał, był jednakowo obojętny, czy przyświecał rozkochanej parze, czy tragedii.

Szturman po chwili wszedł do środka i zajrzał w kompas mówiąc:

– Inwazja dobrze idzie. Amerykanie posuwają się w stronę Półwyspu Normandzkiego.

– Za wolno idzie — odpowiedział mu. —

Przecież są już dwa tygodnie, a ciągle prawie stoją w jednym miejscu.

Ale szturman, Anglik, był zupełnie zadowolony z osiągnięć. Obejrzał się, szturmana już nie było w sterówce.

Myślał o Peggy. Żegnając się z nim całowała go mó-

wiać: „Przyjdź do mnie, kiedy wrócisz”. Miła, mała Peggy. Kochała go i żądała tylko wzajemności. Kiedy sterował — dobrze mu było myśleć o niej.

Do Anglików przyszedł, aby się od nich nauczyć roboty i zrozumieć, co to jest szczur morski.

Przekonał się jednak, że był od nich zręczniejszy w tym fachu. Myśląc o Anglikach mówił:

„przeżyli się”. Anglicy z nielicznymi wyjątkami traktowali statek jak fabrykę. Spełniali swoje obowiązki; w porcie po pracy ubrani na modłę lądową, zmieszani z tłumem ludzi, zamieszkujących okolice portu, stapiali się z nim i ginęli. Pobłażliwie traktowali statek jako rzecz nieżywą, podrzędną. On — przeciwnie. Statek był zawsze jego przyjacielem, dbał o niego wiedząc, że nie spotka się z obojętnością. Nigdy nie było mu obojętne, na jakim statku się znajdował. Statek pokraczny, brudny i zbyt skomplikowany szybko porzucał śmiejąc się z niego jak z niezaradności ludzkiej. Zgrabny i o ładnej linii, czysty i prosty (nie dbał wiele o szybkość) był jego dumą i szczęściem. Trzymał się zawsze długo takiego statku. Często Anglicy hamowali go mówiąc z flegmą: „Bierz wolno”. On — przeciwnie — szalał, jak gdyby nigdy nie miał czasu. Wiedział, że Anglicy umieją tonąć spokojnie i cicho; i on by tak potrafił, ale kiedy

miał świadomość życia, żył. Czasami kpił sobie mówiąc do Anglików: „gdy utonę, żadna inna ryba nie odważy się mnie zjeść, tylko rekin.” Będzie więc częstką rekina. „Nie będę was oczywiście wtedy zjadał” — śmiał się. „Tylko żywych, pływających w wodzie Niemców, aby nie szli już na żaden inny statek”. Życie w nim kipiało. W jego pojęciu marynarz był żywiołem. Kiedy wychodził na brzeg, nie starał się uda-

25

wać człowieka z lądu. Nie gardził ani dunkrami, ani niebieską koszulą. Idąc tak ulicami miasta niósł z sobą powiew morza. Szedł lekko, po nieruchomym cemencie chodnika, przyglądał się kształtnym łydkom dziewcząt, piękne biodra budziły w nim pożądanie. Z uśmiechem zaglądał kobietom w oczy; niektóre były oburzone, częściej uśmiechały się do niego. Z przechodniów, niechętnie przyglądających się tym zaczepkom, nic sobie nie robił. Nie zbierał żadnych pamiątek i nie nosił żadnych ozdób. Ale raz w Liverpoolu, w knajpie, zobaczył u marynarza Norwega złoty, ciężki łańcuch z przyczepioną maleńką kotwicą i sercem. Norweg miał szerokie dunkry, był w wypłowiałej, niebieskiej koszuli, rozchełstanej

pod szyją. Z podwiniętych za łokcie rękawów wychodziły ręce jak manile. Nosił ten łańcuch swobodnie i z dumą przy lewym napiętku. Rzezimieszki z otwartymi gębami nienawistnie przyglądali mu się mierząc swe siły, myśląc o zdobyczy. Nie mieli żadnych szans. Norweg był beztrosko pewny siebie. Podobał mu się, a jeszcze bardziej jego łańcuch. Po przepiciu kilku kolejek, kupił łańcuch za dwadzieścia funtów. Odtąd nosił go na lewej ręce, podobnie jak tamten. Na pięknym, maleńkim sercu kazał wyryć: „Polak,, Bohdan Wrona”.

Nigdy się z nim później nie rozstawał. Był to jakby jego rodowód i dokument. Niektórzy marynarze na wypadek śmierci nosili przy napiętku na tasiemce blaszkę z nazwiskiem i adresem. Zawsze się z nich wyśmiewał, a teraz poszedł w ich ślady. Pełen wesołości szedł w dunkrach nawet na tańce; był to zuchwały nietakt w stosunku do eleganckiego świata. Skutek był jednak taki, że panny nie obrażały się, ale bardziej lgnęły do

niego. Był beztroski, często wpadał w szaloną radość, swawolił. Wtedy nie było dla niego niemożliwości. Często przeholowywał. Rzadko jednak raził ludzi; przeważnie dokoła niego nie było widać smutnej twarzy. Prócz Niemców kochał wszystko. Gdyby Niemców nie było, byłby szczęśliwy. Kiedy słyszał o zwycięstwach Niemców, śmiał się jak potępieniec. Niechby sto niemieckich samolotów przeleciało, miałyby wtedy do czego strzelać. A strzelał nieźle. Pod Londynem, kiedy wszystkim dech w piersiach zapierało, trafił do nurkującego do nich samolotu tak dokładnie, że wszyscy radośnie odsapnęli nie wiedząc, jak to się stało. Samolot nie przestając nurkować wbił się w wodę tuż przy nich. Blisko Scapa Flow na redzie, gdy Heinkel po storpedowaniu statku uciekał tuż nad wodą na wszystkich obrotach, rozbił go tak, że zostały po nim tylko pływaki. Potem kapitan nazywał go „swoim szczęściem” i śmiesznie dodawał, że jeśli porzuci jego statek, to i on pójdzie precz. Kiedy ludzie narzekali na wojnę, wcale ich nie słuchał. Wiedział, że Niemcy postanowili bezwzględnie wytępić jego rodaków. Przyjął to bez tragedii, ale z szaleńczą determinacją — choćby jeden na wszystkich. Odkąd to pojął, wojna stała się jego żywiołem. Gdy myślał o milionach pomordowanych Polaków, odczuwał

ich ból. Ból tych ludzi gasił wartość jego życia, był między nimi. Lecz on żył. Miał w sobie świadomość życia. Zemsta przeżarła mu mózg, krew zamieniała się w jad, który zabijał. Wojna była spuścizną tych, którzy polegli. Sumiennie wypełniał ich wolę i dlatego był szczęśliwy. Był koleżeński. Wspomagał kolegów swoją radą i si-

27

łą. W bójce pieść jego smagała celnie. Pieniądz nie stanowił celu jego życia. Jego szeroka natura, zda się, ogarniała wszystko. Lubił czytać książki. Często mówił Anglikom o ich morskiej historii. Umiał pracować, szło mu to lekko i zręcznie. Szturmani mówili, że jest doskonałym marynarzem.

Sterował jedną ręką, już nie myślał o Peggy. Spojrzał na zegar, dochodziła dwunasta. Nucił cicho piosenkę o księżycu, którą słyszał w ostatnim porcie. Ze schodów doszły go odgłosy kroków następnej wachty. Do sterówki wszedł hałaśliwie marynarz. Powiesił kurtkę na haku, rzucił pas ratunkowy tuż przy kompasie i sapiąc jak człowiek zbudzony ze snu, stanął przy kole. Zdał mu kurs i wyszedł.

Szedł wolno po rozświetlonym pokładzie. Zatrzymał się na chwilę na śródkręciu. Księżyc świecił jasno. Patrzył na równe kolumny

statków, nie dymiły prawie wcale. Z przodu doszło go kilkanaście słabych wybuchów, słabo się odbiły o burty. Patrzył na zewnętrzną stronę: szli z lewej strony konwoju w pierwszej kolumnie jak bufor. Kontrtorpedowiec, idący blisko, wykręcił się do nich rufą i pomknął szybko zostawiając za sobą pianę. Wszedł do mesy. W mesie Anglicy klnąc Niemców mówili co drugie słowo o inwazji.

– Hej, „Pole” — krzyknął jeden — nie będzie już teraz długo do powrotu do twego kraju.

Nie zdziwiło go to wcale, mówili mu tak przynajmniej raz dziennie przez całe pięć lat.

Uśmiechnął się, teraz się nie mylili. Słuchając ich rozmowy wypił kubek gorącej herbaty, potem poszedł do kabiny, zanurzył się w swoją koję i zasnął.

Anglicy także wkrótce opuścili mesę, idąc do swoich koi. Na rufie zrobiło się cicho.

Statki płynęły w ściśniętych kolumnach, powoli, zuchwale idąc W stronę Francji. Księżyc zaszedł. Konwój szedł, przysłonięty nocą, tuż przy brzegu Francji. Bomby głębinowe odzywały się jeszcze z lewej, od strony brzegu, nie przeszkadzając wcale śpiącym pod pokładem. Przyzwyczajeni do tych odgłosów spali twardo.

Nagle podrywają się wszyscy. Dzwonki dźwięczą na alarm.

Zerwał się z koi, chwycił pas ratunkowy i wybiegł z kabiny. Na pokładzie uderzył go w oczy jarzący blask, to okręt idący przed nimi wystrzelił dwie rakiety. Skoczył na trap wiodący na gun-deck; gdy biegł do działa, zatrzymał go na chwilę huk eksplozji i wstrząs. Przytrzymał się poręczy. Z przodu statku wystrzelił w górę słup wody i dymu. Trafiła ich torpeda. Z gun-decku zagrzmiało działa, dwa razy, raz po raz. Wbiegł pędem. Widział usuwających się na pokład Anglików. Skoczył i przylgnął do podstawy działa. Pociski głucho biły w żelazo jęcząc piekielnie, leciały na wszystkie strony. Poczul nagły ból w lewym obojczyku, ukąsiło go, ale ręką mógł ruszać. Wychylił oczy; ścigacz

z rykiem leciał niedaleko nich bijąc -ze wszystkich działek i karabinów maszynowych. Za ścigaczem z boku, naprzeciw ich kursu, zabieliła się woda. Wyszedł z niej kiosk łodzi podwodnej, żłobiąc białą bruzdę. Cały pokład jej był pod wodą. Działo z kiosku, skręcone w ich stronę, ziało ogniem. Dwa pociski trafiły. Mostek przestał istnieć. Spojrzał na leżących Anglików i ryknął:

– Hej, który może odpalić?

29

Wstał jeden jak cień, przycisnął ręką brzuch, przysunął się do zamku działa.

„Pole” załadował w jednej chwili. Przez celownik wczepił wzrok w kiosk. Podchodzi coraz bliżej.

– Tak, teraz.

– Ognia! — krzyknął silniej, zmuszając półżywego kolegę do ostatniego wysiłku.

Działo drgnęło. Pocisk pękł w kiosku znosząc go doszczętnie. Anglik osunął się tuż przy zamku na pokład, przyciskając brzuch obydwoma rękami. Pokład łodzi wynurzył się z wody.

Stanął w miejscu całą swoją długością.

Obejrzał się. Śródkręcie jego statku było pod wodą. Przytrzymując pas skoczył do morza.

Szybko zgarniał wodę ręką i nogami odpływając

od tonącego statku.

– Dzielny mały stateczek — rzucił mu na pożegnanie.

Ostatnia rufa szła w wodę wraz z jego kolegami, leżącymi pokotem przy dziale.

Najbliższe statki grzmiały wszystkim ogniem dobijając łódź podwodną. Miały łatwy cel, lekką robotę.

Kiedy uniósł się z falą, nie widział już łodzi podwodnej. Statki wstrzymały ogień i było cicho.

Wolno spływały rakiety oświetlając ciągle płynący tym samym kursem konwój.

Dokręcił szkło lampki. Czerwone światełko nie wy-błysło.

– Do diabła! — zaklął. — Przecież od tego lichego światełka może zależne jest moje życie.

Statki przepływały z dala nie widząc go. Nie krzyczał. Szły za daleko, by go usłyszeć. Nie miał do nich najmniejszej urazy. Cieszył się, widząc, że wciąż płyną

załadowane i groźne. Jedna łódź podwodna nie będzie

już więcej słała im torped.

Uśmiechnął się do siebie. Tak, konwój musi dopłynąć do Francji, na zgubę Niemcom. On, ranny, pływający w wodzie, cieszył się tym wszystkim. Konwój go minął i zniknął.

Dochodziły go jeszcze wybuchy bomb głębinowych. Słabe uderzenia wody odczuł na własnym ciele aż i one ustały i zrobiło się zupełnie cicho. Wiatr tylko wiał i szumiały fale. Nigdy nie czuł się tak samotny jak teraz. Zdany na łaskę fal i wiatru. Pas ratunkowy doskonale go nosił, gdyby woda była ciepła, byłoby mu nawet przyjemnie. Dał północno-wschodni wiatr i chłostał go po twarzy. Woda była przejmująco zimna i gorzka. Ciągle zalewała mu twarz.

„Może i lepiej” — myślał. Krew mu zakrzepnie na obojczyku. Czuł się dobrze. Gdy było bardziej zimno, przez głowę mu przechodziło: „Odpłacę ja im — z naddatkiem”. Był pewien, że gdy słońce wzejdzie i zrobi się widno, zobaczy go jakiś okręt przyjacielski lub samolot. Odpocznie sobie wtedy trochę i z powrotem wróci na statek. Przypomniała mu się Peggy i ciepłe łóżko. Zawsze rano przynosiła mu filiżankę gorącej herbaty, całowała go i szła do pracy. „Dobra, mała Peggy. Wrócę do niej i

będzie mi po stokroć lepiej".

Na chwilę zza wystrzępionych chmur pokazały się gwiazdy. Było jaśniej. Potem w zbitej powłoce przyszły chmury, zrobiło się czarno. Woda zlewała się z powietrzem. Zdawało mu się, że płynie zawieszony ni to w wodzie, ni to w powietrzu. Czarna maź była pod nim i nad nim. Czasami fala błysnęła w załamaniu tuż przy nim. Zimno mu było, czuł, że słabnie. „Tak” jest chyba

31

w piekle — pomyślał sobie — tylko nie tak zimno". Nie lubił nigdy samotności, kochał ludzi i stale był między nimi. Czuł znowu, że słabnie. Wokoło pustka, ani okrętu, ani samolotu. Wiatr dał silniejszy. Śmiał się ze swojej komicznej obawy, by wiatr go nie zepchnął do Francji, w ręce Niemców. „Żeby wytrzymać tylko do wschodu słońca" — nie wychodziło mu to z głowy. Znow ukazały się gwiazdy. Wiatr pędził chmury nisko nad wodą. Na wschodzie czarnogranatowe niebo zaczęło sinieć. „Słońce wzejdzie niedługo" — pocieszał się. Całe ciało miał sine. Czuł, że drętwieje. Woda zalała go kilka razy. Pił ją zimną jak lód i dusił się. Nie odczuwał teraz ani zimna, ani bólu w obojczyku. Głowa mu drętwiała i robiła się ciężka.

Na wschodzie niebo coraz bardziej jaśniało i chmury były już w jaskrawej czerwieni. Słońce wychodziło z wody powoli, ogromne, czerwone jak krew. Patrzył na nie. „Tam jest mój kraj” — zaświtało mu w głowie. Przed oczami miał blask jaskrawy, czerwony, oślepiający. Przez przymknięte oczy ciągle widział blask. Buchnął ogień biały, oślepiający, jak w nocy z olbrzymiego działa. Powoli ciemniał, aż zgasł. Słońce szło coraz wyżej pieszcząc fale złotem, przesycając powietrze ciepłem. Morze teraz było przyjemne i żywe, jasne i rozświetlone wokół horyzontu. Wysokie fale, łamiące się na czubach, błyszczały słońcem. Wiatr był teraz łagodniejszy i ciepły. Spędzone chmury odsłoniły czysty, poranny błękit nieba. Nie było widać żadnego samolotu i okrętu na horyzoncie. Płynął sobie sam w tej pozornej pustce. Chwilami fale wyrzucały go do połowy, pokazując głowę i pierś w rozpiętej, niebieskiej koszuli, ściągniętej pasem ratunkowym. Włosy

zlepiły mu się przylegając do czaszki. Kiedy zanurzał się w wodzie, jaśniała tylko blada twarz z sinymi oczodołami, nieruchoma, ostra, jak gdyby było w niej utajone życie. Miłość i nienawiść, ożywione walką, wyrzeźbiły mu twarz teraz w formie ostatecznej; śmierć ukazała istotny sens jego życia.

Twarz, która jednych mogłaby roztkliwić i pobudzić do miłości całego rodzaju ludzkiego, innych przerażała siłą wyrazu zawartej w niej woli walki. Widzieliby w niej pogardę i nienawiść. Rozpoznawaliby w nim swego wroga, którego śmierć uczyniła niezłomnym, nieprzejednanym, groźnym i strasznym.

Okolo południa płynął wzdłuż francuskiego brzegu. Mijał okręty przyjacielskie, strzelające w stronę lądu. Później fale zepchnęły go w ciżbę tysiąca inwazyjnych statków. Płynął wśród przyjaciół. Marynarze zwijali się jak opętani wyrzucając ładunek na krypy i barki. Nie słyszał ich, ani nie widział. Przepłynął blisko statków z jego konwoju. Zobaczyli go. Marynarze zbiegli się przy burcie przyglądając mu się. Płynął jak na inspekcji. W spokoju przyjmował ostatnią uroczystą, pożegnalną defiladę. Marynarze widzieli wiele pływających trupów, nie widzieli jednak takiego jak on. Patrząc na niego nieruchomieli w zupełnej ciszy odprowadzając

go wzrokiem. Nie odzywali się do siebie ani słowem.

Kiedy przepływał obok polskiego statku, najmłodszy chłopak pokładowy krzyknął:

– Patrzcie, on żyje — i skoczył po trap, aby go wyciągnąć z wody.

Pierwszy oficer, nie chcąc mieć trupa na pokładzie, pohamował go słowami:

– Zostaw go. Jemu już nic nie trzeba.

33

Chłopak zaniechał zamiaru, stanął jak wryty i wczepił oczy w jego twarz. Kiedy odpłynął daleko, chłopak ryknął:

– Przysięgam, że on żyje — takim głosem, że oficer nie wiedząc, czy miał słuszność, czy chłopak zwariował, szybko odszedł.

Płynąc obok szpitalnego statku znów odbierał ostatnią ciszę pożegnalną. Z górnego pokładu, pochylone nad poręczą, przyglądały mu się pielęgniarki. Kiedy był blisko, jedna z nich wyszeptała głęboko:

– Patrzcie, co za twarz, na pewno jakaś dziewczyna go kocha i serce jej pękło. Mój chłopak jest marynarzem. Na myśl, że i on tak może pływać — nie, wtedy chyba umrę.

Była jednak dzielna. Z szeroko otwartymi oczami obdarzyła go swoją miłością. Czuła, że

oddech jej się zatrzymuje i że cała drętwieje.
Przykryła oczy rękami usuwając się na leżak.
Inne wolno odchodziły.

Kiedy odpłynął dalej i fale go już zasłoniły,
dziewczyna znów wyszeptała cicho:

– Tej twarzy nigdy nie zapomnę.

Znów płynął sam. Zostawił za sobą
przyjacielskie statki i płynął przy brzegu zajęтым
przez Niemców. Słońce z wysoka ciepłem
pieściło mu twarz. Morze kołysało jak matka.

Przecież dobrze go znało. Oddawał mu prawie
pogańską cześć żyjąc jak żywioł, jak jego syn.

Pod wieczór, kiedy słońce było już blisko
horyzontu, podpłynął do niego niemiecki ścigacz
patrolowy. Jeden z marynarzy uchwycił go za
pas ratunkowy na piersiach i uniósł z wody.

Patrzyli na jego nogi zgięte w kolanach, na ręce
zgięte w łokciach i zaciśnięte w kułak dłonie.

Przyglądając się twarzy doznali wstrząsu. Inny

marynarz podniósł lewą rękę z wody, obejrzał złoty łańcuch badając dokładnie jego wartość. Po chwili wyczytał cicho:

– Polak.

Wypuścił zimną rękę, która z powrotem zanurzyła się w wodzie, i błędnym wzrokiem błędził po twarzach kolegów. Ci zastygli nieruchomo nie mogąc oderwać oczu od tej twarzy.

Wojował jeszcze po śmierci, jak gdyby za żywota miał walki za mała. A teraz niesamowitym spokojem drwił sobie z nich. Miał dla nich okropną pogardę, paraliżował im mózgi. Dławił i ciągnął za sobą, jakby mówił: „Nie przebaczam”.

Za dużo bólu zadali mu za życia.

– Puść go — charknął oficer nie każąc nawet szukać dokumentów.

Ścigacz zaryczał i pomknął. Oficer wrzasnął:

– Przeklęty naród! Straszą nawet po śmierci.

– Nawet Hansowi odechciało się rabować — podtrzymał drugi. — Co to było, miedź? — ciągnął dalej.

– Nie żadna, miedź, szczere złoto.

– Dlaczegoś nie ściągnął, idioto?

– Mogłeś ty.

Oglądali się za siebie — nieswojo im było.

Fale go niosły. Posiniał na twarzy jakby z

gniewu. Ciemność znów go spowiła, jak ubiegłej nocy. Kiedy księżyc wszedł na niebo, był już blisko brzegu, przy cyplu Półwyspu Normandzkiego. Tu fala rzuciła go na zasieki z drutów kolczastych, ogmatwanych wokół pali wbitych w wodzie. Do pasa był wynurzony z wody, z jedną ręką wzniesioną w górę. Przechodzący brzegiem wartownik wziął go za żywe-

35

go. Wygarnął cały magazyn zabijając go po raz drugi.

Kiedy przybiegł patrol — już go nie było.

Silniejsza fala zdjęła go z drutów i niosła dalej.

Płynął teraz na otwarty Atlantyk. Wolny jak marynarz. Wierny swemu żywiołowi, który mu dawał życie i wolę do walki, a teraz przyjął go do siebie jak wiernego syna.

36

Ocieniona kapturkiem żarówka śnieżyła pustą kartkę papieru. Pochyliłem się nad nią z bałwochwalczą czcią. Ręka sama chwyciła pióro i kiedy miała już dotknąć kartki, obezwładniało ją drganie serca, słabość nerwów, cień zamętu w głowie. Prostowałem się i znów czekałem na przypływ natchnienia. Długo czekałem. Potęgujące się wahanie, zanim nie weszła zdrewniała pustka podobna śmierci.

Wstałem, zacząłem przechadzać się po pokoiku. Pomału myśli zaczęły wzbierać i układać się w żywe ciało. I kiedy miałem już pochylić się z nimi nad kartką, głos z wnętrza mówił: „jeszcze nie”. Śnieżka biel kartki czarowała jak łono wspaniałej kobiety. Bezwolna, odczuje wszystko i wrażliwiej i mocniej niż ty. Weźmie z sobą do ziemskiego nieba. Ale każda fałszywa myśl zbruka ją i ciebie i będziecie wlec się schyleni przez życie nie do zniesienia. Pochyliłem się nad nią już któryś raz, wreszcie wstałem.

Rozejrzałem się — ściany, graciki miały martwość grobu.

Wypadłem, uciekłem z niego. Szybko zbiegłem po schodach. Zatrzasnąłem za sobą frontowe drzwi. Nikle tłące się lampy, pustawa ulica. Przeszedłem następną, przylegającą do Hyde

Parku. Ciepły wieczór wczesnej jesieni. Woń przejrzalej bujnej trawy, poszum starych drzew. Radość ciała, ale w głowie pustka. Niewiarygodnie szybko znalazłem się przy Hyde Park Corner, przed Klubem Białego Orła.

37

Wszedłem na wysoki parter, skierowałem się na górę. Na pierwszym piętrze przestrzennej klatki schodowej z marmuru gromadki naszych wojaków niższych szarż, wsparte na poręczy. Przez otwarte na oścież podwójne drzwi wszedłem do sali barowej. Przy kontuarze napiłem się piwa. Wszystkie stoliki były zajęte, na nich syty nieład. Dochodziła północ. Starsi wojskowi, eleganccy cywile, wytworne Angielki, trochę chełpliwości, przynależnej ich rangom. Mieli dobrze w czubach. Polska jurność i angielski racjonalizm diabelnie upraszczały drogę do nieba. Poczujęm się durniem. Byłem w dunkrach i w spłowiałej, niebieskiej koszuli. To nie miało żadnego znaczenia. Czułem się bardzo młodo, mój strój dawał rozkoszną wygodę, jakiej nie zaznałbym w galanteryjnych chomątach i uprężach. Zobaczyłem znajomych dziennikarzy w ich zawodowym, rozpryskliwym podnieceniu. Wołali mnie do siebie. Przeszedłem do przyległej sali. Gorszy gatunek ubrań, te

same kieszenie. Ostre rozmowy, niektórzy
płynęli już w zaświaty z pogardą dla życia.
Zszedłem na dół, wpadłem do parku.

W ciemności parsknąłem jak kot. Po kilku
oddechach poczułem się lepiej. Ciepła, mokra
woń. Pochyliłem się nad pogrubiła ławką.
Śpiący błyskawicznie chwycił oburącz leżący
kapelusz, nie spojrzawszy na mnie podłożył go
sobie pod głowę i wykręcił się do mnie plecami.
Szeleścił przy tym, jakby miał powleczenie z ga-
zet.

Odszedłem zgnębiony. Znalazłem oto bratnią
duszę, ale człowiek nie chciał ze mną
rozmawiać, chciał tylko spać, było mu lepiej niż
mnie.

Minęło mnie kilka cichych objętych par, inne
space-

rowały swobodnie, czasami padło słowo, przechodnie dzielili się nocą. Kierowali się na lewą stronę jeziora. Pyszna sylwetka dziewczyny w spodniach i sweterku przemknęła ze sprężystością, na jaką nie mogłaby sobie pozwolić za dnia. Pędziła do domu, aby znużyć się przed snem. Czyniła to z przejęciem, jakby z przepisu lekarza. Przy wodzie jakiś leciwiec z pieskiem. Trochę dalej owinięta w płaszcz kobieta, swobodnie wyciągnięta na leżaku. Jeszcze dalej w drugim leżaku pochylony mężczyzna z ramionami na kolanach.

Przystanąłem trochę zdziwiony, było już dobrze po północy. Anglicy są bardzo podatni na nastrój. Nie mają naszej mgławicowości, ale bardzo cenią spełniony sentyment. Może prowadzili obrachunki ze sobą, może po prostu wypoczywali, nabierali sił do walki o byt. Na pewno nie marzyli...

Powlokłem się skrajem jeziora. Zszedłem z alejki przy jej końcu, gdzie zwężyła się mocno, przedarłem się przez krzaki. Znalazłem na brzegu skrawek polany o wysokiej trawie, okolonej gąszczem, z szeroko otwartym widokiem na wodę. I tu stało kilka leżaków. Jeden z nich ustawiłem najbardziej poziome i ległem.

Niczego nie chciałem, a najmniej — myśli. Ze zmysłami poradziłem sobie dość łatwo, wyłączyłem je; znaczna ulga. Z głową nie było tak łatwo: wir dający tylko świadomość udręki. Ale ten diabelski młyn również musiał się w końcu zmęczyć...

Chwilami traciłem wszelką świadomość życia. Zapadałem w kojącą otchłań niebytu. A kiedy byłem już na granicy snu, czułem w głowie spokój. Oczy otworzyły się same. Wszystko trwało może godzinę, może dwie, może trzy. Czarna ciemność nocy i znów próby wydo-

39

stania się ze studni. Niepokojący zapach jesieni, mający w sobie śmierć. Nieistniejąca w czerni tafla wody.

Wpatrzyłem się, na drugim brzegu dojrzałem ciemny masyw drzew. Szmer opadających kropel rosy. Granat nieba z iskrzącymi się gwiazdami. Zapomniałem, gdzie jestem, mogło to być w dżungli Panamy czy na Borneo. Od Marble Arch dobiegał słaby szum pojazdów.

Byłem więc w samym środku Londynu.

Przypomniałem sobie pokoik, ogarnął mnie strach. Nie miałem tam po co wracać.

Poszukałem gwiazd. Plejady mieniły się wyzywająco jak oczy dziewcząt. Stare znajome

z rejsów, lubiłem je najbardziej ze wszystkich konstelacji. Potem pomyślałem o ziemskim świecie. Przetoczył się przede mną, opędziłem go wkoło najróżniejszą lokomocją, legalnie i nielegalnie. A teraz wywróciłem się na małym dziewczęcym sercu z urojenia.

Wyleczyłem się z choroby przestrzeni. Dosyt oglądania. Tak jakby nie istniały opisy odkryć, sam barbarzyńsko musiałem wszystkiego dotknąć. Głupota nie korzystać z trudu innych ludzi.

Bez z góry powziętej myśli zacząłem zastanawiać się nad obejrzanym światem, z prymitywną nieporadnością zacząłem drażnić go w głąb. Zacząłem pisać. Drukowałem już w kilku dobrych pismach emigracyjnych. Jednak nie zaczynałbym, gdybym wiedział, co mnie czeka. Raczej puściłbym się po raz drugi w koło. Teraz przestrzeń nie smakowała już, statek nie pociągał. Skończyło się dziecinne, radosne oglądanie. A pisać też nie można.

Zacząłem nowelę o dziewczynie i utknąłem. Nie miałem żadnych cennych cech, tylko trochę odwagi i dzielności w pokonywaniu przestrzeni. Teraz najważniej-

sze było siedzenie. A w tej części ciała nie miałem odpowiedniej dzielności. O, gdyby można było odbyć włóczęgę wyobraźni, podobną do mej bieganiny po świecie, byłoby z tego więcej niż ze stu okrążeń ziemi. Ale wyobraźnia moja była łamaźna, a kiedy polatywała już dość chybko, brakowało odwagi, by dotknąć piórem białej kartki. Z nią było jak w początkach z nieistniejąco piękną, cudną dziewczyną, a później — miast rozkoszy — potęgująca się udręka.

Zaoszczędzone pieniądze kończyły się już. Zrobiło mi się wesoło, tak jakbym w ogóle ich nie potrzebował. Znajome Plejady mrugały przyjaźnie — wołały mnie. Choć na statkach była niejedna uciecha, przecież nie było już powrotu. Taka powtórka z musu nie byłaby zabawna. Przekroczyłem jakąś granicę, teraz nie ma już statku, nie można też pisać i nie ma pieniędzy. Znowu z ostrą wyrazistością zobaczyłem szeleszczącego papierami na ławce włóczęgę. Chwycił kapelusz, bym mu go nie ukradł. Bratnia dusza.

Niebo jaśniało, gwiazdy pobladyły. Smużka mgły nad jeziorkiem. Na drugim brzegu, pod rokitą, stała w wodzie czapla. Czasami kuła dziobem. Lekko skrzywiła głowę z harcapiem, jednym

okiem wypatrywała ryb, drugim patrzyła na mnie. Znowu nieufna, bratnia dusza. Że też wszystko boi się wszystkiego.

Kiedyś miałem naiwną wiarę w cały świat, było mi dobrze. A teraz i ja bałem się swoich poczynań, bałem się samego siebie.

Zapłonęły czuby drzew. Czapla poderwała się, popłynęła nisko nad ogromnym miastem, do swojego domku na jakiejś kępie. Powstałem z wysiłkiem. Poczułem, że jestem cały zimny i odrętwiały. Z trudnością stawiałem

40

pierwsze kroki. Trawa aż tryskała rosą. Nim wyszedłem na alejkę, byłem mokry po kolana. Na wielkim kolisku ujrzałem kawalkadę jeźdźców. Przystanąłem na skraju. Kolorowe, sztywne fraczki, posągowe twarze, kobiety jak królowe Nefretete. Ci dopiero grali swoje życie górniej niż operowo. Roześmiałem się nieprzyzwoicie. Nikt tego nie zauważył, tylko kilkunastolatкови jadącemu na kucu zmieszał się uśmiech. Miał radośnie chłopięcą, buzię, nie nawykłą jeszcze do czekającej go roli. Zazdrościłem im tylko karego, targającego wodzami i drobiącego zadnimi nogami. Och, użyłbym sobie, brzuchem tarłby ziemię! Kiedy minęli mnie „Egipcjanie” ruszyłem

szybko, aby się rozgrzać. Na ulicach ludzie spieszący do pracy. Mój dom. Otworzyłem wejściowe drzwi. Na drugim piętrze krucza, puszysta Irlandka w różowym szlafrocisku wychodziła z łazienki. Po dobrze przespanej nocy i po kąpieli wyglądała jak kropla rosy. Przystanęła, zrobiła okrągłe oczy.

– Och, skąd to tak? — wyszło z jej ust. Potem uśmiechnęła się przyjaźnie, kobieco i dodała: — Happy?

– Very happy — odpowiedziałem cicho i pomknąłem na swoje poddasze. Zwaliłem utyłane dunkry. Rzuciłem się na łóżko, zaraz zapadłem w sen.

Znowu pochylałem się wieczorami nad kartką i nic z tego nie wychodziło. Zabrałem się do czytania. W przerwach włóczyłem się po ulicach w dzień i w noc.

W czarny, deszczowy dzień łąziłem po bruku przemoknięty. Dzień i ja pasowaliśmy do siebie. Wtedy lunęła z nieba woda. Przechodnie biegli do bram, łapali taksówki i autobusy i uciekali do domów. Nie miałem dokąd uciec, najgorsze było mniej okrutne od mojego

poddasza. Kaskady siekły w twarz, oblewały mnie całego. Ulga! Waliły o chodnik, podskakiwały, opadały. Na czarnym, połyskliwym asfalcie pojawiały się bańki — i ginęły. Zabawne. Szedłem pomału, przystawałem, znowu ruszałem. Usłyszałem głośny śmiech, pełen wesołości. Ujrzałem znajomego przy witrynie sklepowej, skinąłem mu głową, chciałem iść dalej. Znajomy wybiegł na skraj suchego miejsca.

— Też spacer! — zagrzmiał. Uśmiechnąłem się. — Chodźże tu! — sięgnął ręką, wciągnął mnie pod daszek. Oglądał mnie, śmiał się głośno. Sam w deszczowym, przeźroczystym płaszczu, pod nim doskonałe ubranie w prążki. Jaskrawy krawat, hiszpański wąs, wypomadowana czupryna. Znałem go: amant, trochę dziennikarz. Ubawiwszy się mną, natarł z miejsca:

— Byłeś niedawno we Francji?

— Dawno... Niedawno...

— Najważniejsze, że byłeś. Masz przy sobie książeczkę żeglarską?

— Mam.

— Mam parę francuskich franków. Wymienisz je?

— Wymienię.

Pociągnął mnie za sobą. Przystanął pod murem. Pochylił się i pogrzebał w nieodłącznym, zawsze noszonym portfelu.

– Masz, ułożone w kupki, w każdym banku jedną.

Błyskawicznie spojrzął na moje ubranie, wyglądałem jak po kąpieli.

– Weź tę skórę. — Podał mi portfel. —

Chodźmy, przestało padać. — Wyszliśmy z podsienia. Narzucił szybki krok, nie sprzyjający rozmowie. Zatrzymał się przed oddziałem bankowym, puścił mnie samego.

43

Podąłem kasjerowi franki i książeczkę żeglarską, wyjętą z celuloidowej oprawki, zaciśniętej gumą. Używałem jej na statkach, na wypadek zmożenia. Kasjer spojrzął na mnie.

– Skąd wiemy, czy byłeś we Francji?

– W książeczce złożone jest zaświadczenie z inwazji.

Przeczytał honorowe świadectwo, wydane przez rząd Jego Królewskiej Mości i ruchami automatu wymienił pieniądze.

– No, co? — zapytał na ulicy amant-dziennikarz.

– W porządku.

Narzucił jeszcze szybsze tempo. Mówił, że drukował się już w „Dzienniku”, że dużo pisze.

Wychwalał znajome dziewczyny, z którymi musi mnie poznać. Po ostatniej wymianie spojrzął na zegarek.

– Jestem umówiony. Elegancka, co za inteligencja! Pędzę!

Podąłem mu portfel i dodałem:

– Przydadzą ci się.

Zręcznie wsunął mi do kieszeni funta.

– Zobaczymy się w „Orle”! — zawołał i zniknął w przejeżdżającej taksówce.

Często tam zabiegał przede mną o znajomość z dziennikarzami i hojnie stawiał im gorzałę. „To się nazywa rozmach” — pomyślałem i ruszyłem wolno na swoje poddasze.

Następnego wieczoru byłem w „Białym Orle”.

Siedziałem sam przy stoliku w sali przylegającej do baru. Jak strzała przemknął amant-dziennikarz. Spozregł mnie, zawrócił, podszedł i rzucił się w fotel.

– Co tak przy piwie tylko? — wyrzucił krzepiąco. — Napijemy się.

– Wystarczy mi — odpowiedziałem.

Na kolanach portfel, układał w nim papiery, bardziej z manieri niż z potrzeby. Przy innych stolikach hałas rozmów. Na klatce schodowej stał wysmukły blondynek, pogodny, uśmiechnięty i samotny. Przez szeroko otwarte drzwi przyglądał się ciżbie ludzkiej.

– Słuchaj, mam jeszcze trochę franków.

Dostaniesz 10 procent. No co, wymienimy je jutro? — nieodparcie przyjaźnie pytał amant-dziennikarz.

Czułem kant.

– Nie — odpowiedziałem.

Przekonywał mnie długo, póki nie zobaczył kilku dziennikarzy idących do sali barowej.

Pomknął do nich.

Po chwili ujrzałem przed sobą zażenowanego blondynka.

– Naprawdę, nigdzie nie ma miejsca. Czy mogę tu usiąść?

– Proszę — odpowiedziałem.

Był w brązowym ubraniu najlepszej jakości, wytwornie znoszonym. Spoglądał delikatnie szarymi, żarzącymi się oczami. Spojrzałem na plik gazet w jego ręku. Uśmiechnął się łagodnie.

– Przegląda się trochę na bieżąco — usprawiedli-

wiał się. Zwinął je ciasno. — Jak tu nie czytać w tym kraju?

Zaczął mówić o literaturze angielskiej. O pierwszeństwie intelektu, podobnym do pierwszeństwa sztuki u Francuzów. O poezji jednoczącej obie cechy w najwyższym stopniu. Słuchałem go z przyjemnością. Doskonale znał angielski i zapewne miał dużo czasu. Zauważył kelnera przy pobliskim stoliku.

45

– Napijemy się wina? — spytał łagodnie.

– Nie, dziękuję — odpowiedziałem.

– Chciałem się napić, ale tak samemu...

– Jeśli tak... — przytaknąłem. Maczaliśmy usta w złotym płynie, uśmiechaliśmy się do siebie.

– Pan nie jest mi obcy. — Odniosło się to pewnie do mojego ostatniego dziwactwa, do pisania. — Teraz często widać tu pana.

– Zbyt często — odpowiedziałem. Znów zaczął mówić o literaturze, żywo, pochłaniająco.

– Pan też? — przerwałem mu.

– Och nie, nie piszę, nawet nie próbuję — wymówił szybko, z zawstydzeniem. Na samym dnie uśmiechu, ledwo się zaznaczającym, trzeźwa pogarda. — Lubię tylko.

Był ciekaw moich rejsów. Kiedy mówiłem o Francji, zamyślił się i nie spuszczał ze mnie

łagodnych, mądrych oczu, wtrącił:

– Właśnie mam pewną sumę francuskich pieniędzy. Pan mógłby je wymienić, dam 20 procent.

Jego łagodna logika przekonała mnie.

Przystąpiłem. Umówiliśmy się i pożegnałem go.

Na drugi dzień rano wypchałem wszystkie kieszenie, nie chciałem brać teczki. Wsuwałem do nich dłoń, palcami wymacywałem grzbiet jednego ze złożonych na pół plików banknotów, wyciągałem i podawałem z książeczką żeglarską w okienku, wraz z kilkoma kłamliwymi słowami. Zgarniałem treściwe funty i szedłem do następnego banku. Tkwiły one w West End jeden za drugim, jak sklepy i jak gdyby zajęciem tutejszych ludzi

było tylko bankierstwo. Pieniądze, pieniądze; płynęły do nich pieniądze jak rzeki. Wszystkimi środkami lokomocji, telegraficznie z kilkudziesięciu tysięcy kilometrów, z ogromnego imperium, z całego świata. Te banki były najważniejszą częścią mózgu społeczeństwa, dopiero posiadanie konta bankowego dawało obywatelstwo. Cóż znaczył mój kancik, kropla w morzu. Roześmiałem się. Kasjerzy nawet nie spoglądali na mnie, a jeśli który rzucił okiem, to raczej z wyrzutem, że zajmuję mu czas. Jeden nawet pośmiał się ze mnie: — Co, nie smakowało ci wino i małe Francuzeczki?... — To tam powinienem był wydać swoje groszaki, by nie zawracać mu głowy.

Robiłem się coraz smuklejszy.

„Funt — myślałem — to przynajmniej pieniądz, nie taki śmieć jak franki”. Zagapiłem się, minąłem bank. Zawróciłem. W kieszeni wymacałem palcami jeden z trzech ostatnich grzbietów, położyłem z książeczką żeglarską na pulpicie okienka. Za pulpitem widziałem stojącego kasjera, słusznego wzrostu, w szarym ubraniu, zwróconego plecami do mnie. Obrócił się, był w rozpiętej marynarce i obcisłej kamizelce. W średnim wieku, ściągła, wyrazista twarz, szronkowate włosy. Pogoda i jasność były

dumnym wdziękiem. Wziął moje papierki, położył na stół. Wymówił farmułę. Nie siadając obracał kartki w książeczce. Wyprostował się, spojrzał na mnie, nos jakby mu się zmarszczył: — Coraz więcej marynarzy przychodzi do nas — wymówił.

Patrzył, mi w oczy z dumnym uśmiechem. Przez chwilę cień przykrości przesłaniał mu twarz, cień, który mówił: „Nie wyglądasz na to, a jednak jesteś zwyk-

47

łym oszustem". Pozostała mi kłamliwa bezczelność. Przeliczył franki i podał funty. Był zgnębiony, jak gdyby sam nie był pewien swojej jasnej dumy. Podziękowałem i odszedłem.

Na ulicy zmięła mi się twarz, jakby mnie ktoś przez rynsztok przeciągnął. Oto chciałem być trochę pisarzem i trochę kanciarzem... O mało nie wybuchnąłem głośnym śmiechem.

Popędziłem do meliny, nie wymieniłem już pozostałych franków.

W Klubie „Białego Orła" zastałem wysmukłego blondynka. Radośnie ożywiony, poprowadził do drugiej sali, w sam róg. Usiedliśmy. Podałem mu funty.

— Jutro dostanie pan podwójną porcję — wymówił szybko i zabrał się do liczenia.

– Tu ma pan swoje 20 funtów.

Wzięłem, schowałem do kieszeni.

– A to co? — Zobaczył pozostałe franki, które położyłem na stole. — Weź je pan, jutro dołożę.

– Już nie chcę — odpowiedziałem.

– Żarty? — zawołał.

– Nie.

W jego uśmiechu dojrzałem całą swoją głupotę, tę o jaką mnie posądzał. Zaśmiał się żywiej, zmrużył oczy, wymówił:

– A 25 procent?

Nie reagowałem.

– Trzydzieści.

Przyglądałem się jego swobodnej hojności.

Wstąpiła w niego pewność siebie, wierzył, że już mnie ma.

– Jedną trzecią.

– Nie — odpowiedziałem cicho.

Zapalił papierosa, po dłuższej chwili powiedział:

– W Londynie jest dwa tysiące banków. W każdym wymienią panu za 5 funtów. — Pokiwał znacząco głową. — Potem można od nowa w tych samych. Całkowita pewność, jeszcze nie żądają podpisu. Był pan we Francji jako marynarz, więc pozwalają panu wymienić pozostałe groszaki. Sprawa zupełnie legalna — kończył łamiącym się naciskiem. — Teraz trzeba szybko. Potem będzie pan panem swojego czasu, może być nawet zabawa w literaturę. Pan ma rodzinę, są jakieś obowiązki wobec niej... Jego wywody były logiczne i diabelnie trzeźwe. Nie potrafiłem przeciwstawić się. Siedziałem cicho, by nie potęgować jego uśmiechu i zostać jeszcze większym durniem. Popatrzył jeszcze na mnie, podał rękę i odszedł.

Natychmiast przybiegł i usiadł w fotelu kręcący się amant-dziennikarz.

– Pracujesz dla niego? — zapytał wprost.

– Już nie.

– Ile ci dawał?

– 20 procent.

– To świetnie. — Skrzywił się, przypomniała mu się jego własna propozycja. — Chciałeś więcej? To cwaniak.

– Nie wygląda. Chciałbyś być taki cwany?

– Ba, to hurtownik. Tacy skupują franki bardzo tanio za gotówkę. Lotnicy Rafu przywożą je w

walizkach. We Francji pozbywają się już tych wojennych śmieci... Spiesz się brachu, bo niedługo będzie obciach. Ja też biorę od niego i szukam koni — zerwał się i popędził dalej. Po chwili wyszedłem także. Szło mi się lekko, wyda-

49

wało mi się, że potrafiłbym pofrunąć. Przez park, skrajem jeziora. To nie nogi niosły mnie na poddasze. Znow spotkałem na schodach Irlandkę.

– You are a nice boy to night — pochwaliła mnie.

– Thank you dear — odpowiedziałem.

Pędziłem do pokoiku, by schować się przed całym światem. Wszystko niepotrzebne odpadło z jego ścian, kiedy się w nim znalazłem.

Usiadłem, pochyliłem się nad kartką, ręka sama chwyciła za pióro, zacząłem pisać. Jakby tama pękła. Zalew. Nie oderwał mnie nawet wstający dzień ani coraz głośniejszy szum na ulicy.

Otworzyłem szeroko okno, wychyliłem się.

Irlandka przechodziła na drugą stronę ulicy, spoglądała w górę. Posłałem jej całusa. Ulegle podziękowała mi otwartą dłonią.

Wyprostowałem grzbiet, przyjemne znużenie.

Rozebrałem się i położyłem do łóżka — wprost

w sen.

50

Po wyjściu z Bergen stałem na dziobie i wypatrywałem min. Zerwane z minrepów, pędzone wiatrem i wichrem spod brzegów brytyjskich wędrowały i tu.

Po kilku latach miałem tam taką zobaczyć. Torpedowiec idący na przodzie ustawił się wtedy w poprzek. Wciągnął sygnał na maszt i zaczął błyskać Morse. Czołowy statek z pierwszej kolumny zszedł w prawo, inne poszły za nim. Byłem na mostku na oku. Kapitan Stankiewicz — „Byk” — chwycił lornetkę, ale ja dostrzegłem minę pierwszy i wskazałem ręką. — Jest. Ruda — powiedział z agresywną radością i zamruczał nienawistnie.

Niewiele jej było na wierzchu, ale czasami na dwie, trzy sekundy fala wynosiła bombę z różkami, już ogromną, choć jeszcze daleko było do jej średnicy. Przesunęła się blisko nas, odstała ze sto pięćdziesiąt metrów. Szliśmy na końcu kolumny. Warujący torpedowiec odskoczył i zabębnił z boforsa. Uderzył w uszy przeciągły grzmot. Woda zalśniła aż do burty, jakby się ścięła. Podniósł się biały słup i rósł wolno wbrew ziemskiemu ciężeniu. Zatrzymał się na koniec i jeszcze wolniej opadł. Owiał nas kurz wodny. Kapitan pokiwał głową. Rozumiałem go.

Gdyby to była noc — z nas może poszedłby taki kurz.

51

Wypatrywałem takich bombek. Od zachodu sunęły z jednostajnym, niskim poszumem długie fale. Czasami dziób uderzał w nie, wstrząsał się i gwałtownie podnosił. Podobało mi się to. Statek bandery szwedzkiej nazywał się „Blankaholm”. Jak za dawnych marynarskich czasów, przywieziono mnie nań samochodem policyjnym wprost z więzienia. W tym samym porcie rzuciłem polski szkuner rybacki, który odszedł do Anglii. Starąłem się o wyjazd do Związku Radzieckiego, a to moje przestępstwo musiało być duże, bo umieszczono mnie w więzieniu. Po odmowie ambasady radzieckiej w Sztokholmie Szwedzi mieli dla mnie tylko jedno wyjście — statek. Przyjąłem je z ochotą. Świat zawirował mi w rejsach, nad nim zawisł mściwy cień panów z Londynu, którzy chcieliby dosięgnąć mnie za „zdradę”.

Na mostku szturman ruchem ręki dał znak, że nadeszła moja zmiana na ster. Ująłem koło niewiele większe niż talerz do zupy, nie mające żadnego luzu. Statek słuchał Każdej szprychy. Wiatr wiał z dziobu. Stałem z rozstawionymi nogami na ogromnej wycieraczce, można było

się na niej zaprzeć bez poślizgu. To tu właśnie było najbardziej stałe miejsce, tak, jakby tylko dziób i rufa statku wznosiły się i opadały. Na burty prawie nie było przechyłów. Czułem statek i starałem się przewidywać, jak będzie brać fale. Opadło ze mnie napięcie i przeniknęła mnie cicha radość... „Blankaholm” miał sześć tysięcy ton, był pierwszym statkiem, którym sterowałem. Tu koło było prawie nieruchome, gdy na skaczącym szkunerze i kutrach rybackich ciągle trzeba było kręcić. Sterowanie jest najszlachetniejszą czynnością marynarza. Przypomnieli mi się pyszni sternicy,

schodzący z mostku „Polonii”. Tacy byli i na innych polskich statkach.

Zmieniająca nas wachta przyszła na mostek w pasach ratunkowych. Bosman z dwoma dejmanami, także w pasach, poszli na dziób. Ludzie jedli w pasach posiłki, przesiadywali w nich w mesach i spaliby w nich, gdyby położenie się na wielkich, twardych korkach nie było torturą. A przecież, podczas przeskoku najgorszych wód Morza Północnego, niektórzy jednak próbowali spać w pasach ratunkowych. Trwaliśmy w ponurym, męczącym oczekiwaniu. Wszyscy byliśmy skazani, z terminem śmierci zawieszonym w czasie. To mogło stać się w każdej chwili. Z oczu wyzierało przygnębienie i strach. Wszyscy byli zasłuchani. Każdy głos wybijał się ostro i potężniał w ponurym poszumie fal. Szwedzi przyjmowali wszystko śmiertelnie poważnie. I ja byłem taki, ale nie mogłem wytrzymać i uśmiechałem się, choćby sam do siebie. Przychodziła chwila odprężenia, robiło mi się lżej, uśmiechałem się coraz częściej. Szczęśliwcy, co potrafią parsknąć śmiechem wprost w kościsty pysk śmierci i w ten sposób przepędzić ją. Nigdy nie czułem takiej ostrości zmysłów,

byłem przyczajony, gotów sprężyć się w każdej chwili. Zasypiałem jak kot, a kiedy otwierałem oczy, miałem jasną głowę i ciało gotowe do działania. Ale lodowatą wodę czułem przez skórę, całym ciałem, wiedziałem, że zabija w kilkanaście minut. Trzeba by sucho usiąść w spuszczonej szalupie lub na opadłej tratwie. Nie przeceniałem pasa ratunkowego, chociaż zawsze miałem go pod ręką. Nie zakładałem go na siebie, bez niego było mi zręczniej, swobodniej i radośniej. W razie potrzeby za-

53

łożyłbym go w parę sekund. A ostatecznie można by przepłynąć kilkadziesiąt metrów do szalupy czy do tratwy, w nich byłyby suche, zapasowe powleczenia, nieprzemakalne ubrania i płaszcze. Nie byłoby wcale tak źle, byle nie zabił bezpośredni wybuch torpedy.

Na mostku ostro obserwowaliśmy wodę, aż do horyzontu i wokoło. Nad każdą jaśniejszą smugą piany mógł wznosić się patyk peryskopu.

Ciemne fale szły miarowo, ławą, zabiłone grzywaczami. Mglisto, ponuro, ziąb.

Przy Szetlandach, kiedy stałem przy sterze, zaczął sypać śnieg.

– Rajder! — rozległ się okrzyk na prawym

skrzydle.

Z lewego, przez sterówkę, przebiegł marynarz. Szturman wpadł do kabiny nawigacyjnej, wyskoczył z niej z sykiem i spojrzał na mnie.

– Nie boisz się? — zapytał.

Nie odpowiedziałem, z przekory uśmiechnąłem się. Nie bardzo wierzyłem, by przyłazł tak blisko na brytyjskie wody. Po dłuższej chwili, z prawej burty od rufy wyłonił się z zadymki śnieżnej pasażer średniej wielkości, najeżony działami.

Przy nich tkwili marynarze w mundurach, lufy skierowali na nas. Jak na taką fale przesunął się swą siwoszarą burtą niebezpiecznie blisko nas.

Ujrzeliśmy wielką białą banderę w ząbki. Potem rajder wysunął się w przód i zniknął w kurzawie.

Na pewno był to okręt brytyjski; na niemieckich rajderach działa były doskonale zamaskowane.

Dni i noce, ciągle w napięciu. Słońca nie ma, ocean prawie czarny, jednostajnie, ze ściszonego hukiem suną pagóry zza horyzontu, monotonia strachu. W mesach

nie ma gawęd, są tylko słowa. Ludzie stają się dobrzy, są nawet czuli dla siebie. Mają przezroczyście twarze, bez żądz i namiętności, wyglądają jak święci. Strach tak narósł, że aż zaczął odstawać, nie lepił się już. Pojawiły się uśmiechy, delikatne i nieśmiałe. Nikt nie krzyknął ani nie zaklął głośno. Krótkie rozmowy przyciszonym głosem.

Woda, statek biegnący po pagórkach, inne ptaki. Wszystko nowe, wszystkiego jestem chciwie ciekaw. Kiedy pytam Szwedów o coś — „co to za mewa?” — są oburzeni; z takimi głupstwami wydaję im się śmieszny.

Pośrodku wielkiej wody narasta dma.

Przebywamy dni w ciągłej pustce, jakbyśmy stali w miejscu. Noce czarne, płyniemy bez światła, czasami tylko zajaśnieje grzywacz.

Niedobrze byłoby znaleźć się w taką noc w szalupie lub na tratwie. Daleko od lądu, wielkie odległości. Zimna śmierć byłaby szybsza niż pomoc z jakiegoś statku.

Znów mniej słów, ściszone głosy. Jesteśmy w ujęciu oceanu. Po przebyciu połowy drogi płyniemy z większą nadzieją, już jakby z górki. Napięcie wzrasta dopiero przy brzegach Stanów, bo tam pałęta się najwięcej łodzi podwodnych. Zawijamy do Filadelfii.

Każdy krok w nowym kraju, wśród obcych

ludzi, jest przygodą ciekawości. Ja jednak nie mam prawa wyjścia na ląd, lękają się, bym przypadkiem nie pozostał. Tak jakbym nie miał własnego kraju, nieszczęsnego piekiełka, którego nie zmieniałbym na ten ich raj.

Szwedzi smutni powracają z lądu. Może zawsze stają się tacy, kiedy wstępują na pokład? Statek jest zwiastunem nieszczęścia...

55

Zmieniający się dozorczy Biura Imigracyjnego pilnują mnie przy pracy, pilnują nawet mojego snu. Bezpieczeństwo całkowite. Nie trzeba nasłuchiwać detonacji. Odpoczynek oczu.

Wyłączona podświadomość. Swobodny oddech. Wyjście w morze Szwedzi przyjmują poważnie. Dla mnie jest ono niemal radosne. Nie mam już dozorców na karku, nie czuję pokus lądu.

Ograniczenie, jakie narzuca statek, biorę za rzecz normalną i jestem wolny, sprawiedliwie, jak każdy z załogi. Znów włącza się świadomość i podświadoma czujność, zmysły ostrzeją.

Płyniemy po nieobjętych, burzliwych rozłogach. Ciągłe samotni. Ludzie z przygnębiającym spokojem sprawnie wykonują swe czynności i biorą na przetrwanie. Są zmęczeni. Sam ocean nie jest taki straszny, jego wrogość i okrucieństwo potęgują ludzie. Trzeba przetrwać,

choć będzie to tak bardzo długo.

Jestem żądny radości. Radością jest patrzeć na słońce i gwiazdy, na mewy na środku oceanu i na przyjaznych dla siebie Szwedów, którzy jakby byli po gromadzkiej spowiedzi z odpuszczeniem grzechów. Raduje się, że żyję, z nadzieją, że kiedyś urzeczywistni się moje skromne marzenie: pozyskam przyjaźń i miłość obcych ludzi.

Aberdeen nocami jest czarne, jakby wymarłe.

Wyją syreny. Świetliste smugi reflektorów.

Detonacje. Szwedzi obruszają się, że powinno się im pozwolić pójść do schronów

przeciwlotniczych. Pokazują się pojedyncze samoloty, czasem jest ich kilka, a i to nieczęsto.

Dzielni Szkoci traktują je jak straszaki, nie dają się.

Znów rozłogi burzliwych fal. Płyniemy ogromnym

kręgiem daleko na północ. Za Islandią ocean huczy ponuro, chwilami przypomina grzmot odległej kanonady. Maszty pogwizdują jak flety, liny jak harfa. Czasami dziób uderza twardo, wtedy na mostku schylamy głowy za osłony, kaskady odprysków leją się na grzbiety. Szturman kreci głową i jeszcze bardziej zmniejsza szybkość.

Od dwóch dni zboczyliśmy z kursu na północ i idziemy na fale. Dziób bierze sucho. Statek aż gnie się, jest spracowany. Czuje pulsującą krew, narastanie wszystkich sił, czasem parsknę sobie dziko. W mesie pytam Szwedów, kiedy będzie sztorm. Pytałem już poprzednio kilka razy, zbywali mnie pobłażliwymi uśmiechami. Teraz patrzą na mnie twardo.

– Spać nie można — wymawia z politowaniem stary cieśla i patrzy na mnie jak na głupka.

– Zachciewa mu się sztormu — mówi z odrazą drugi.

– My ci tu damy — grożą.

Można po męsku przekląć i pobлуźnić im. Nie mogą znieść moich głupich pragnień. Taki był czas, a nigdy nie widziałem porządnego sztormu. Wszystko sztormiki. Przy zapaściach rufy odrywałem się od koi, a kiedy szła w górę, wydawało się, że się śruba ukręci. Duszę, chciało wytrząsnąć — ale wówczas i z tego nic

sobie nie robiłem. Tego dnia długo patrzyłem na wąskoskrzydłą mewę. Leciała pod wiatr rozpadliną tuż nad wodą, pod osłoną pagóra. Wynajdywała w nim wgłębienie, skrzydłem muskała wodę i wdzierała się w następną rozpadlinę. Minęła statek i zniknęła wśród fal. Taka mała i taka dzielna.

Sztorm zelżał i wzięliśmy mocno na południe. Pły-

57

nęliśmy prawie przy brzegach Stanów, do Norfolku.

Znów pilnuje mnie dozorca. Mógłbym uciec, ale nie chcę mu robić przykrości. Według wieści w konwojach storpedowano dużo statków. Łatwo obywam się bez lądu; z państwami jest jak z ludźmi, nieładnie pchać się do nich, gdy ciebie nie chcą.

Podczas malowania tratwy wdaje się ze mną w pogawędkę jeden ze szturmanów. Prawi mi komplementy, że taki jestem ambitny i uparty, dziwi go to. Wyobraża sobie mój kraj jako ciągły, dziki chaos. Przyznałem mu rację. Potem opowiadał mi, że ludy germańskie przyszły do Europy południową drogą, podczas gdy słowiańskie przeszły również z Indii na północ i

tam mieszały się z Mongołami.

Odpowiedziałem mu z uśmiechem, że bardzo lubię moją mongolską krew, że my, pół-Mongoli, wszystko możemy zrobić równie dobrze jak oni, Nordycy, a będziemy starać się jeszcze lepiej. Roześmiał się i był trochę zdziwiony.

Raduje mnie odejście w morze. Po wachtach urządzam sobie spacer na pokładzie.

Podpatruję fale. W wielkiej dmie cienka warstwa wody przesuwa się poziomo. Fale i odcień wody różnią się bardzo. Czasami nocą przycupnę na luku. Niebo — porozdzierany łachman. Ocean powietrza jest groźniejszy, to on rzuca na nas sztormy. Marzą mi się wyspy, kontynenty. Gdzieś pośrodku oceanu, kiedy wszyscy z pokładu, Z wyjątkiem wachty na mostku, siedzieliśmy w mesie, z dołu, z pomieszczeń załogowych, doszedł nas ryk. Nasilał się i opadał. „Han hod flaske” — powiedział ktoś, ale nikt się nie śmiał. W drzwiach pojawił się smarownik Fin. Trzymał się futryny. Ciężko siadł na ławie i rękami oparł się o stół. Głośno przeklął wojnę. Zgniewało

go, że nikt się nie odzywa. „Co tak cicho siedzicie? — wołał. — I tak utopicie się!”

Wybuchnąłem śmiechem:

– Żadna nowina!

Nikt nie dał wciągnąć się w rozmowę, wszyscy byli bardzo ostrożni. Fin ciął ostro w swoim języku, z bezustanną przeplatanką: „Satana! Perkelle!”

Słuchali go mimochodem, jakby mówił sam do siebie. Znikąd ani słowa, tego nie mógł znieść. Wyjął nóż i zamachał nim nad głową. Szwedzi wyszli, popędził ich przekleństwami. Zostaliśmy sami. Mówił ciągle, a kiedy rozumiałem go, wtrącałem dwa słowa. Żalił się, potem nastał spokój. Wstałem i powiedziałem: „Idziemy spać”. Chciałem mu pomóc, ale zszedł sprawnie po schodach i zagarnął mnie do swojej kabiny. Na ścianie kolekcja fajek i noży fińskich. Nalał do szklanek. Piliśmy. Mówił, że już ma dość tego czekania, wolałby być na karelskim froncie. Zmęczony, żalił się, cichł. Ułożyłem go w ubraniu w koi, zdjąłem mu buty. Gdyby on był w Karelii, a ja w Związku Radzieckim, może zarznęlibyśmy jeden drugiego. Zwariowany świat. Ludzie ostro dzielą mi się na polityków z potwornymi ambicjami dawnych królów i z ich

okrucieństwem i na szarych, prostych ludzi, pragnących żyć... Szwedzi znów uchylili drzwi kabin, by nie zaparła ich eksplozja. „Jewla Fin” — szemrali.

Po wachtach siedzę w kabinie. Za poszyciem huczą lodowate fale, tu ciepło i jasno.

Przeглядani stos amerykańskich magazynów. Kobiety i kobiety, półnagie, nagie, szłał ciało o twarzach nimfetek. Seks. Leżą na kupie w papierowym stosie. Propozycja wyboru, można smakować jak potrawy. Jeśli masz pieniądze, możesz kupić

59

je wszystkie. Męski ciąg mają ci Amerykanie, gdy ja ścigam krajobrazy. Przypominają mi się podobizny kobiet antycznej Grecji, budziły zachwyty dla samego piękna i pożądanie bardzo ludzkie, a jednak piękne. Ze stosu ciał wybieram numery „Saturday Evening Post”, w nich opowiadania Faulknera, Hemingwaya, Steinbecka. Często sięgam po słownik i nie nuży mnie to. Podoba mi się ich wyobrażenie Ameryki.

W Grimsby pełno statków rybackich, kutrów. Następnego dnia wszedł niszczyciel z dziobem rozdartym przez torpedę i zacumował przed nami. Słyszeć chrapliwy śpiew. Zatopili łódź

podwodną. Przechodzą przy naszej burcie, tak jak stali przy działach, na mostku, w wołokowych kurtach. Twarze ostre, zajadłe, każdy uśmiech — wyzwanie. Rozgrzali się i nie ochłonęli jeszcze. Szwedzi wołają mnie do trapu. Na dole kilku takich w wołokach stoi z zadartymi głowami.

– Hej, Polak, chodź z nami — wołają.

– Nie mam pozwolenia.

Są zawstydzeni. Klną rozporządzenie i tych, co je wydali. Brzuchami odpychają pilnującego marynarza z automatem o nasadzonym bagnecie. Inni wołają, bym zszedł. Zaprzeczam ruchem głowy i odchodzę, by przeciąć to wszystko. Idę przy burcie, oni dołem.

– Poczekajcie chwilę — wołam.

Przynoszę amerykańskie papierosy i rzucam każdemu po paczce. Podnieśli, podziękowali, sięgnęli do kieszeni i zaczęli bombardować swoimi. Podnoszę paczkę, dziękuję i wołam, że starczy. Ale oni rzucają wszystko, co mieli, a zbierali to marynarze z mojego statku.

– Wypijemy za twoje zdrowie!

– I ja za wasze!

Wznieśli ręce i odeszli.

Mieli pewno papierosy z tygodniowego przydziału. U nas na pokładzie wszyscy przez tydzień palili playersy. Ci sami, rozrzutni, powracali nocą. Słyszeć ich było z daleka. Na niebie wisiała ruchoma pajęczyna świetlistych smug. Po każdej detonacji następował wybuch głośniejszego śpiewu. U nas było cicho.

Znów płyniemy. Ocean huczy i bije falą, tak jakby na tych szerokościach nigdy nie było spokoju. Grozy dodaje zimno; tylko pomyśleć, jak by to było w szalupie.

Mamy nowego kucharza. Stary zachorował i został w Anglii. Mówią, że nie chciał pływać, i przyznają mu racje. Teraz jest Norweg.

Przyrządzane przez niego posiłki są bardziej proste. Ostro pędzi z kuchni zwracających mu uwagę Szwedów. Jest bardzo spokojny, chce, by i jego zostawiono w spokoju. Głuchy jak pień i właśnie dlatego nie daje sobie dmuchać w kaszę.

Czasami rozmawiam z nim, krzycząc mu w ucho. „Szwedzi nie będą go uczyć, nigdy nie byli marynarzami. A Norwegowie zawsze żeglowali i będą żeglować. Duńczycy także”... Dużo wie o Wikingach i odrobina dumy z nich jest pewno największą radością jego samotnego i niemłodego już życia. Nie zna strachu, jest głuchy także na wojnę. Normanowie na

drakkarach mieli wystarczającą dzielność i odwagę, by opłynąć świat wokoło. Mogli to uczynić sześćset lat przed Magellanem, tylko, myślę., zawiodła ich wyobraźnia.

Pod Nową Szkocją kawał wody pokrytej czarnymi kaczuszkami. Niektóre tak spasiono, że nie mogą poderwać się do lotu. Statek płynie po nich. Wieczorem

61

wchodzimy w rozbłysk świateł Nowego Jorku.

Wiążemy w Brooklynie,

Wyrzuciliśmy ciężki trap trochę krzywo.

Zbiegam w dół i nadnoszę. Stoję na lądzie,

czuję, jak kręci mi się w głowie. Po trapie pnie

się kilkoro ludzi, z nimi na pewno mój

prześladowca z Biura Imigracyjnego. Winkuję

ręką chłopakom na pokładzie i odchodzę; żaden

nie krzyczy, śmieją się. Szybko przechodzę

hangar i wdzieram się na ulicę. Stąpam po

twardej ziemi, wszystko we mnie chichocze.

Zaglądam do baru, sami Włosi. Ciągnę do

swoich. W drugim poznaję ich po swojskich

oczach, są cholernie wyelegantowani. Jestem w

swetrze i w gumowych butach z wywiniętymi

cholewami, a we mnie przełamujący wszystko

chichot. Rozmawiają na pół po naszymu, na pół

po amerykańsku. Ucieszna przeplatanka. Chcę

napić się piwa, proponuję im kupno zegarka. Są zdziwieni, mówią, jakby to było wydarzenie: „On jest ze starego kraju”. O zegarku nie chcą słyszeć. Stawiają wódkę. Muszę opowiadać o wojnie, mimo iż wiedzą o niej więcej niż ja. Od nich dowiaduję się o nie ustającej rzezi w kraju, o naszych lotnikach w Anglii. Ci dopiero hulają na spitfire'ach. Często wychylamy wódkę i dławimy się tą wojną. Dziewczyny odsuwają się do swego kółka. Chłopaki mówią: „I my tam pójdziemy”. Są Amerykanami, ale myślą o Polsce. Około północy wychodzimy. Ciągną mnie do swoich domów. Odmawiam, idę na statek.

Wachtowy Knut aż pęka ze śmiechu. Opowiada, jaki był rwetes. Do kabiny na rufie przylatuje pierwszy oficer. Przygląda mi się z niewiarą. Opowiada o urzędnikach z Immigration, powiedzieli mu, że kompania za-

płaci tysiąc dolarowy bill. Kapitan wściekł się, odpowiedział, że nie będzie więził własnej załogi, nawymyślał im. Jest nam bardzo wesoło. Następnego dnia po południu zjawił się nieszczęsny dozorca. Wieczorem steward przyniósł mi do kabiny kilka butelek piwa z polecenia kapitana. Rozlewam i piję zdrowie Immigration. Dozorca czuje się trochę komicznie. Podtrzymuję go na duchu, by się tak nie męczył.

Malujemy na burtach ogromne szwedzkie flagi. Odchodzimy. Znowu monotonia strachu, ale przebija w niej cicha radość. Mamy iść do Bergen, a potem do Szwecji. Ze sto mil przed Norwegią radzik łapie wiadomość, że jest tam już cała niemiecka flota z desantami. Wiejemy. Z zamglonych wód wyłaniają się Wyspy Owcze: skały, trawiaste pagóry, cieśnina i szczyt wieży kościółka. Stoimy pod maszyną, pohukujemy syreną. Pojawia się łódź rybacka. Na otwartej przestrzeni chowa się za wysoką falą i przelatuje nad nią jak ptak. Ale ta fala jest zmierzwiona występem lądu. Sternik lawiruje z niezwykłym wyczuciem fali. Wysoki, drapieżny dziób łodzi ma sporo z drakkaru Normanów, ale jest bardziej prosty. Statek manewruje, by osłonić ją burtą od fali i wiatru. Łódź nawet nie muska zawietrznej, drugi rybak skacze na trap, łódka

oddala się na wszystkich obrotach. Rybak pilotuje nas na osłonięte wody. Rzucamy kotwicę w gromadce skandynawskich statków. Często przyplływają w łodziach miejscowi ludzie. Mówią archaicznym językiem Wikingów. Są radośni, zdrowi, aż czerwoni. Jawią mi się jarmarczne kłębowniska wielkich miast, a tu, wśród ogromu burzliwego oceanu i zimna, tylko rodzina na występie skały.

63

Zebrało się kilkanaście statków. Wychodzimy. Czeka na nas stary trawler rybacki z armatką na dziobie i banderą wojenną na gaflu, ona dodaje nam więcej otuchy, jak dobre dżu-dżu. Powoli i niezdarnie formujemy się w trzy kolumny, konwój jest rozciągnięty, ogoniasty. Przy Szetlandach dochodzi torpedowiec i korwetka. Strzegą nas i oganiają jak stado owiec. Serca rosną.

Przed wejściem w Tamizę atak niemieckich samolotów. Toną trzy statki, czwarty z zanurzonym dziobem pchnął się rufą do lądu. Nasz, pierwszy, okładany jest bombami. Wymalowane flagi ostrzej znaczą cel. Dwukrotnie uskakujemy w bok na pełnej szybkości, z twardo wychylonym sterem. Czuję się swobodniejszy, wszystko to, nawet śmierć,

wydaje mi się mniej straszne.

W Londynie Szwedzi schodzą z pokładu, by na fińskim statku drogą przez Petsamo udać się do swojego kraju. Chcą zabrać mnie ze sobą. Na ich miejsce przychodzą Norwegowie z wielorybnika. Dostaję wyjście na ląd i wezwanie do naszej ambasady. Dostojny urzędnik każe mi stawić się na komisję wojskową. Mówię mu, że praca na statkach uważana jest przez Anglików za służbę frontową. On apeluje bez skutku do mojego poczucia obywatelskiego. Londyn — zburzone kopce. W czarne noce ludzie mrowią się jak w ogromnym kretowisku.

Przy brzegach dużo wraków, rozdartych, potrzaskanych. Wiele z nich było pięknymi statkami, dzielnie przetrwały niejednen sztorm. Na to były stworzone. Została z nich kupa pogiętego żelastwa. Zmasakrowane trupy. A ujęcie oceanu jest czyste. Żadne ludzkie szaleństwo nie uczyni z niego śmietnika. Jest wieczny i niezmienny.

Norwegowie wcale nie tak ponurzy. Mają w sobie dużo śmiechu i drwiny. Po statku krzątają się jak na naszych wsiach dobry gospodarz w swoim obejściu. Zazdroszczę im swobody, są jakby mieszkańcami wody, ziemia dla nich to mało znaczący dodatek na wybieg, podczas gdy ja ciągle zamieszkuję na ziemi i nie potrafię oderwać się od niej.

W Nowym Jorku mam także wyjście na ląd. Na Broadwayu ulewa świateł, tłumy, propozycje tysięcy uciech. Wizg opon. Ekstatyczny hałas. Monstrualny kłęb ciał w spazmie, gdy w Anglii ludzie brną teraz po omacku przez swoje rumowiska, a niektórzy śpią w schronach i psy im siwieją od nalotów. Taka to wspólnota ludzka.

Zachodzimy jeszcze do Norfolku i stamtąd ciągniemy południową stroną. Wybieramy z szalupy rozbitków. Z góry catalina ubezpiecza nas przed łodziami podwodnymi. Spłachcie piasku z palmami — Bermudy. Hamilton — jak dziecięca zabawka. Zostawiamy rozbitków. Idziemy bardziej na północ, jest coraz chłodniej i coraz większa fala. Middlesbrough — miasto ruina.

Wychodzimy w kilka statków. Opędza nas uzbrojony trawler. Pchamy się na północ. Z portów dołączają coraz to inne statki, powiększa

się także osłona. Nim minęliśmy Szkocję, zebrał się wielki konwój. Ze Scapa Flow wyszło pięć niszczycieli, trawlerzy pozostały. Idziemy teraz w mocno wydłużonym prostokącie. Po bokach niszczyciele, w przodzie dwa, w tyle jeden. Na masztach ciągłe sygnały, istny festyn. Na burtach odgłos bomb głębinowych, jakby od uderzenia młotem. Przy Islandii zimno, mimo że dopiero jesień. Znowu dym. W rannej szarówce tracimy statek. Nocą dwa. Wszystkie z ogona

65

konwoju. „Blankaholm” jest szybki, ale tu musi wlec się z najwolniejszymi. Wychodzą nam z pomocą dwie kanadyjskie korwetki. Część konwoju idzie do Halifaxu, pozostałe, także my, do Filadelfii.

Pod koniec czterdziestego trzeciego roku znowu byłem „Bałtykiem” dwa razy w Ameryce. Z Anglii szliśmy pod balastem piasku, by schować się przed dymem i przed falą. Ze Stanów i Kanady braliśmy amunicję, broń, a na pokładzie utykali nam trzydziestotonowe shermany. W Nowym Jorku paliły się ogromne zbiorniki z benzyną i ropą; niesamowite gejzery. W zatoce Halifaxu poderwała nas ze snu detonacja. Pobliski statek zaczął rzygać ogniem jak katusza. Udało nam się podnieść kotwicę i odejść dalej. Odkąd

Anglicy odpędzili je od siebie, łodzie podwodne ciągle pętały się przy portach Amerykanów. Była to bitwa o Atlantyck.

Konwój nasz szedł wydłużonym bokiem prostokąta, by szybko przeskoczyć łodzie, ale nie zawsze to się udawało. Nocą, po jednym dłuższym grzmocie, statek wpraw odrywał się od wody w kłębie ognia, potem tonął, ale to już nie był statek.

— Lecą do nieba — zawołał ktoś.

Kiwaliśmy głowami, było to lepsze niż zimna śmierć. Tankowiec płonął, aż wiało ciepłem od niego. Pozostał.

Potem pękł, jakby chciał podpalić ocean.

Kiedyś łódź podwodna weszła pod konwój.

Wybuchnął tylko jeden statek. Między kolumny wpadł niszczyciel i zaczął mieszać wodę.

Uciekaliśmy na boki, myśleliśmy, że nas połamie. Noc była, na skrzydle mostku wichura chciała pourywać łby. Płaty chmur polatywały nisko, księżyc przeskakiwał z jednej na drugą. Woda kłębiła się w białych smugach, statki kolebały się w ciąg-

łych wypryskach. Tego było dosyć. Byłem pewny, że ludzie zwariowali, i sam śmiałem się jak wariat. W dzień nie było lepiej. Znów „beczki śmiechu”.

— Joe, coraz gorzej. Wykurzą nas — odezwałem się do pływającego z nami Anglika.

— Nie odejdziemy stąd — odpowiedział spokojnie. — Północny Atlantyk jest naszym domem.

Zdawało się, że ustami cockneya przemówił wielki naród.

W powrotnej drodze koło Brytanii mgły, chodziliśmy na ślepo w pohukiwaniu syren.

Konwój rozbiegł się w śnieżnej zadymce.

Szybkie statki poszły same, maruderzy odstali.

Niewiele pozbierało się ich potem w stado.

Często strzelaliśmy z oerlikonów. Niemcy nie pchali się.

W zrąbanych miastach serdeczni ludzie. Lubili nas. „Nie ruszymy się z tej kępy” — mówili do nich nasi piechociarze, jakby wstydzili się, że dotąd wyrywali. Padały całe zestawy naszych szwadronów myśliwskich, przychodzili nowi.

„Ci chłopcy hojnie leją krew, jak nikt” —

mówili Anglicy. „I spernę” — dodawały dziewczyny w przyportowych barach. Płodzili dzieci, żenili się, wojowali.

Na szwedzie byłem prawie rok. Ale północny Atlantyk tylko latem jest znośny, w pozostałe trzy pory dnia i ziąb. By odsapnąć, wziąłem sobie w Nowym Jorku holendra płynącego do Indonezji.

Po załadowaniu klarujemy statek i wychodzimy, sami. Na otwartych wodach splukujemy pokład. Z prawej burty smuży się jeszcze czasem ląd Stanów. Dodaje

67

otuchy, mimo iż właśnie wzdłuż tych brzegów lubią krążyć łodzie podwodne. Za dnia marynarz z wachty idzie do roboty z bosmanem i dwoma dejmanami. Zmywają farbę z nadbudówek i korytarzy. Za to szturman na skrzydle przepatruje wody. Cumownicze manile wpuszczamy w luki.

Z każdą wachtą cieplej. Biorę na siebie mniej przyodziewku, w końcu nożem obcinam wysoko nogawice dunkrów. Jestem spragniony słońca, myślę, że na Saharze także nie byłoby go za wiele. Na wysokości Florydy wynoszę mój brezentowy hamak i podwiązuję pod bomem ostatniego luku. Próbuje. Obciska niewygodnie i zamyka się nade mną. Rozpieram go dłuższym patykiem w głowie, krótszym w nogach. Już mnie nie owija, ale nadal trochę twardo.

Moszczę go materacem z koi, otulam
prześcieradłem, narzucam poduszkę,
prześcieradło i koc. Rankami rzuca się rosa.
Holendrzy przestrzegają, że pokręci mnie kiedyś
i już nie wstanę. Śmieję się z tego. Koc trochę
wilgotnieje, ale pod prześcieradłem sucho.
Dobrze przesypiam noce. Urządzamy wielkie
sprzątanie kabin i pranie. Wysuszona odzież ma
ciepły zapach słońca.
Nocą przechodzimy rozświetlone wysepki Key
Westu, na południu bije w niebo łuna Hawany.
W dzień pobrzeże Kuby — biała smuga piasku i
palmy. Na Morzu Karaibskim nie widać żadnych
sargasów, jest szmaragdowe, słoneczne.
Przechodzą krótkie ulewy. Zawsze w porę
sznuruję hamak w brezentową kioskę. Potem
znów gorące słońce, na pokładzie ani pyłku.
Colón w witalnej zieleni, mozaika ludzkich skór,
ras. U polskich Żydów kupuję slipy, szorty
khaki, biała koszulę bez rękawów i sandały.
Marynarze do tropikal-

nego rynsztunku dokupują kaski przeciwsłoneczne. Mają miny ważne i śmieszne. Przez śluzy przeciągają nas elektryczną kolejką. Silne ubezpieczenie piechoty morskiej USA. W jeziorze Gatun rosną drzewa. Pelikany i kolibry — największe i najmniejsze. Smużka wody w dwustumetrowych ścianach litej skały. Głowa Lessepsa w płaskorzeźbie z brązu. Statek płynie wśród gór. Kordyliery przecięte ludzką pracą. Po drugiej stronie, w Balboa, zabierają do szpitala chorego marynarza. My zadowoleni, że pozbywamy się jego przygnębiającej twarzy. Mówią, że to symulant.

Statek czysty w barwie, dotyku, aż pachnie. Ma dużo okładzin z dębu, w naturalnej barwie, bez lakieru, pobielanych słońcem. „Sommelsdyk” jest prawie nowy, dwanaście tysięcy ton, duży i bardzo szybki. Duńskiej roboty, wygładzony w drobiazgach. Dwie bardzo długie lufy, podobno szesnastocalowe. Strzelamy teraz do wyrzuconej beczki po oliwie, dla wprawy, by potem nie robić niepotrzebnego hałasu. To na tych wodach przepadły bez wieści dwa holenderskie statki. Zatopiły je niemieckie rajdery, może łodzie podwodne, zdążające po zaopatrzenie do przyjaznej Japonii, a może sami Japończycy, którzy dążą do wojny?...

Przy Galapagos przez godzinę płyniemy wśród

delfinów. W przezroczystej wodzie doskonale widać ich małe z matkami, inne podrosłe, i trzymetrowe olbrzymy; sapią i spoglądają na nas paciorkami oczu. Nurkują pod brzuch statku. Wiją się i pędzą razem z nami. Każdy jak sprężyna z absolutną płynnością ruchów. Ale odstają coraz bardziej. Przed dziobem ciągle ściga się z nami kilka wielkich zuchów, które stoczyły już niejeden bój z rekinami. Potem zostają tylko dwa.

69

Kiedy stewa łaskocze im płetwę, zginają ogon, rozprężają się i jak błyskawica przelatują w dziesięciometrowych skokach w powietrzu, jeden nad drugim, nie przeszkadzając sobie. Ogarnęło je szaleństwo. Ale i najdzielniejsi nasi bracia wodni w końcu pozostali w tyle. Ruch węża, giętkość pantery, majestat lotu albatrosa i jeszcze płynność delfina — oto balet dla nabożnych kalifów w pozaziemskim raju. Kapitan wprowadził na mostek pasażerów, greckiego kupca wraz z małżonką. Dwornie objaśnia jej różne urządzenia. On — mały, okazały brzuch, śnieżne tropiki lamowane złotem, dostojność władzy. Marynarze tylko w szortach — zdrowa, krzepka nagość zwierzątek. Kobieta dostrzega różnicę. Uśmiecha się z

delikatną ironią i udaje, że słucha objaśnień. Jest duża i powolna; gdy jej mąż maleńki i żywy jak skra.

Jest jeszcze holenderskie rodzeństwo, wyrośnięta pannica i młodszy brat. Rankiem i przed wieczorem spacerują po przednim pokładzie, gdzie jest zwykle pusto, zawsze razem. Nigdy nie widziano ich na rufie, gdzie są pomieszczenia załogowe. Nie reagują na naszą obecność. Nie kłaniamy im się, jak Grekom. Są jednak ujmująco, cicho skromni. Szanujemy ich. Ich odosobnienie nie jest pozbawione życzliwości. Muszą mieć dużo życia wewnętrznego, swój świat, że tak trwają w ciszy. Lubię to, mimo że dla mnie jest to nieosiągalne. Gromadne życie niszczy urok intymności i jej siłę. Kiedy znajdują się wśród bliskich ludzi, ogrzeją się także ich serca. Przechodząc przed szeroko otwartym iluminatorem widziałem ją w fotelu z książką w ręku, inne książki były porozrzucane na koi. Czytali dużo, by nie zagroziła im pustka.

Nocą płyniemy z wygaszonymi światłami. Statek, zawieszony w ciemnościach, ani drgnie, jakby i on spał na szerokim gościńcu. A przecież pędzi siedemnastoma węzłami. Na wachtę, więcej z przyzwyczajenia niż z potrzeby, przychodzimy z pasami ratunkowymi w rękach i rzucamy je pod tylną ścianę sterówki. Nagie skóry owiane łagodnym ciepłem nocy. Jedyne słowa to wymienianie kursu. Kojąca cisza, półsen. Tu zginęli Magellan, Cook, La Perouse. Ile heroizmu i ogromu pracy myśli ludzkiej po to, by nam było łatwiej. Po wachcie rozwiązuję hamak, jest sucho, wygodnie; sen.

Budzi mnie wschodzące słońce i dotyk ręki wachtowego, wołającego na zmianę. Naciągam szorty i idę na mostek, bez orzeźwienia zimną wodą. Każde przebudzenie jest łagodne, jasne i radosne, gdy koledzy w kabinach przytomnieją dopiero po dłuższej chwili. Codziennie biorę prysznic. Sprawiam sobie masaż długim mydleniem całego ciała, potem woda ożywia mą skórę. Czuję rozluźnienie i lekkość. Jedyne przyodziewkiem są skąpe, białe slipy. Skóra straciła skromną białość, wpada w czerwonawy brąz, ciemny na grzbiecie, jaśniejszy na brzuchu. Zmieniłem ubarwienie. Chodzę bosy, jak kiedyś marynarze na, żaglowcach. Pokład, wykładany dębem, wybielony słońcem po deszczach.

Urządzam sobie na nim najswobodniejsze spacery z częstym zatrzymywaniem się. Przysiadam na luku koło hamaka, tam jem posiłki. Do kabiny nie chodzę wcale. Czysty, przytulny statek, nieobjęty ocean, gorące słońce, kojąca monotonia. Jestem wygrzany jak kot, na wskroś przesycony słońcem, skóra odżyła, aż mrowi na plecach, włosy spłowiały.

71

W dzień jeden z wachty zawsze siedzi na maszcie. Nie stoję w blaszanym koszu jak inni, lecz siedzę na płycie zadaszania. To dwadzieścia metrów nad pokładem, a jestem swobodny jak na luku. Statek ani drgnie. Słońce ani drgnie. Słońce i orzeźwiający przewiew. Dziób odkłada potężne skiby, zabiłone pianą. Przed nimi wzbijają się lśniące groty latających ryb. Szybują jak pociski. Mewy pikują, chwytają je i połykają. Wążą się bardzo blisko mnie, natrzęsają się z mojej nieporadności. Jasne niebo nakłada się horyzontem na ciemniejszy ocean. Przepatruję lornetą styk nieba i wody. Raz ujrzałem tam szczyty masztów. Widziałem je także gołym okiem, ale przez lornetę wyraźniej. Zawołałem na mostek. Tam nie widzieli jeszcze masztów, ale statek skręcił ostro o dziewięćdziesiąt stopni w lewo i pognał co sił w

koniach. Maszty zapadły się i po jakiejś godzinie znów weszliśmy w kurs...

Czasami widuję albatrosy, po dwa, cztery, trzymają się parami i z dala od statku.

Rozpiętość ich skrzydeł jest ze cztery razy większa od długości ciała. Nie machają nimi, lecz kształtują je i nastawiają do lotu. Pod wiatr zyskują wysokość.

Czasami nocą otwierają mi się oczy, gwiazdy kołyszą się lekko z ruchem statku. Świetlisty Syriusz, ogromne ćwieki Oriona, czerwony Krzyż Południa, mieniące się Plejady i niezliczony pył Drogi Mlecznej. Statku nie widać, oceanu nie widać. Rozpostarty w hamaku patrzę w jasną, kulistą niszę nieba; największe ludzkie marzenie, które można osiągnąć przez doskonałość. Dla jednych ma to być wieczna szczęśliwość, dla drugich tylko ludzki trud, po który polecą. W albatrosach są dusze

potopionych żeglarzy — marzenie marynarzy o doskonalszej żegludze. Nasi koledzy, żeglarze nieba, żeglować będą między planetami. Może polecą na inne gwiazdy, a może całym systemem słonecznym powędrujemy w ich pobliże i dogonimy je statkami? Może na którejś będą sprzyjające warunki i zaludnimy ją?... A może już będzie zamieszkana przez istoty mądre?... Rozsądne byłoby łączenie sił i możliwości przeciw ogromowi wszechświata... A może przeciw groźbie wojny? Najbardziej zagrożone i nietrwałe jest ludzkie szczęście. Najpełniejsze jest ono w marzeniu. Silnym pozostaje ściganie szczęścia, które po urzeczywistnieniu rodzi następną tęsknotę, i tak bez końca. Marzenie jest wielkością i tragizmem człowieka. Największą w nim i nie do odłożenia siłą jest obsesja nieba. Zdobycie go jest celem ogromnym, dla którego powinny łączyć siły wszystkie narody. Ale one zabawiają się grabieżami. Kolor skóry, oczu, kształt nosa może być także powodem wojny. Czy mój ojciec jeszcze żyje?... Chyba nie jestem najlepszym synem... Powinienem być na północnym Atlantyku lub pójść do lotnictwa... Strasznie łatwa żegluga. Obowiązki na statku są tak oczywiste jak powietrze, spełniam je bez oporów i jestem wolny. Ciągłe słońce. Czasami

popadają rześiste deszcze i lśnią tęcze. Raz
niebo wystroiło się w tęczę . podwójną, a my
płynęliśmy jak przez bramę. Ciepłe, wyiskrzzone
gwiazdami noce. Lubię tę kojącą monotonię.
Jest czas na rozpamiętywanie wydarzeń miłych i
takich, których się wstydzę sam wobec siebie.
Przemyślam sytuacje, w których teraz
postąpiłbym inaczej. Najwięcej wyrzucam sobie
niespełnienie zamierzeń, których przez brak
odwagi nawet nie ruszyłem. Marzą mi się

73

dziewczyny odrealnione, uszlachetnione
przeestrzenią. Wyobrażenia wysp, ludzi...
Ciągłe ocean. Wyspy zostały na północy.
Idziemy mocno południowym łukiem. W
przejrzystym powietrzu unosi się ład Australii,
słoneczne, ciche Rockhampton. Na redzie duży,
biały statek-pilot. Łódź odrywa się od niego i
przy pływa pod burzę. Wiśniowo politurowany
welbot z wiosłami nie w parę, przy nich czterech
rosłych chłopców, piąty przy sterze.
Kruczowłosi, ciemny brąz skóry, kwieciste
przepaski na biodrach. Kanacy. Kiedy pilot był
już na trapie, odpłynęli długimi pociągnięciami
wioseł, najdostojniejsi z żeglarzy. Królewski
zaprzęg — aż zatyka nas podziw.
W żegludze przez Pacyfik zgubiliśmy jeden

dzień, musimy go dodać, by wpaść w miejscowy czas. Piaszczyste łąchy Wielkiej Bariery Raf Koralowych. Tylko na niektórych palą się boje. Przez całą noc pilot na mostku, w dzień trochę drzemie. Na samym cyplu Jorku podpływa łódeczka i zabiera go z pokładu.

Płytkie morze o świetlistym błękicie. Wyspy, wysepki z czubatą zielenią. Trafiają się i skaliste. Przy Borneo gorąca, lepka jak smoła noc, z zastałym powietrzem. Niebo raz po raz otwiera się ogniem, jakbyśmy mieli spłonąć. Iskrzą się szczyty masztów. Sucha, cicha burza. Stargał ją piorun, po nim całe kanonady. Ciężkie krople, ulewa nasilająca się w kaskady. Płyniemy jak pod wodospadem. Rzucamy kotwicę.

O świcie weszliśmy do zatoki i uwiązali przy drewnianym pomoście. Balikpapan. Trochę domów, wieża naftowa, wszystko spowite w zielony kożuch. Odurzający zapach dżungli. Zrzucają trochę ładunku i wychodzimy.

Batawia na Jawie. Pokusa tajemniczych krajów. Spłacam statek. Po kilku dniach w pośpiechu mustrują mnie na inny, na wyjściu. „Palenbang”. Spory jak poprzedni, stary, opuchły rdzą, oblepiony farbą i smołą. Przepychamy się wśród wysp. Często pojawiają się japońscy rybacy. Holendrzy smutnieją. Na cyplu Jorku nie ma ani jednego pilota. Statki uciekają. Na pagórze dwie armaty, półnadzy żołnierze kopią w piasku rowy.

Przy ciągłym sondowaniu ze statku i ze spuszczonej łodzi przebijamy się przez Wielką Barierę. Radość. Przez cały dzień sunęliśmy nad koralowymi lasami, w nich zaciszne polany i odpryski skał. Ławice ryb barwniejsze od kwiatów. Zielone węże.

I znów łatwa żegluga. Pojawiają się wyspy. Zachodzimy do Suwy na Fidzi. Niedołężny hydroplan uwiązany przy boi. Miasteczko-ogród z czerwonymi dachami. Ogromni, czarni krajowcy w czapach poskręcanych włosów. Cała załoga zeszła się w przytulnym barze, zagubionym w oceanicznej ciszy. Prowadzi go hoża kobieta. Przedstawiamy się narodowościami. Ona jest Niemką. Śmiejemy się, nie uznajemy wojny, jest gdzieś daleko. A może to mądrość prostych ludzi, którzy nigdy nie chcą wojny? Niemka jest miła, przyjazna,

opiekuńcza. Wytchnienie.

W drodze na statek zagarnęła nas gromada krajowców. Bębny, gitary, w wielkiej szopie wszyscy tańczą na bosaka. Zdejmujemy buty. Dziewczyny-olbrzymki, w ich tańcu jest łagodna senność. Gorąca noc. Marynarze wychodzą z nimi popatrzeć na księżyc. Siedzę na ławie, z połowy łupiny kokosa pije ich piwo — „kawa”. Nie chcę wracać na statek, świat ma więcej uroku, niż

75

doznał go Ulisses. O jakie dwa tysiące mil stąd jest Tahiti, raj na ziemi. Bóg zapomniał o nim, ale odnaleźli go żeglarze. Wydaje mi się, że to bardzo blisko, że można by puścić się pirogą. Ale przypomina się wojna. Wracam na statek. Pod dziobem skądś wziął się świerszcz, wędruje z nami i śpiewa. Ciągłe wyspy jak kwiaty, bukiety na rozległej łące Pacyfiku. W monotonii pojawiają się jak sen, są jej dopełnieniem. O niespełna milę stąd jedna z wysp archipelagu Towarzystwa. To tu rozegrała się wielka tragedia o kilka orzechów kokosowych. Niektórych buntowników zawleczono do Anglii i powieszono na rejach. Po stu pięćdziesięciu latach oddał im sprawiedliwość epos *Mutiny on the Bounty*. Do dziś żyją tu potomkowie

dzielnego Chrystiana. Mógłbym ich zobaczyć. Z wyspy wzbijają się dymy, ocean jest gładki. Skoczyć do wody, dopłynąć, nic łatwiejszego. Ale trzeba na wojnę...

Wyspy zostały za nami. Pólsen długiego przelotu. Delfiny przy Galapagos. Przejście Panamy. Przybył nam jeden dzień, musimy go odjąć.

Do Halifaxu przybiegliśmy w tęgą zimę. W pomieszczeniach pod dziobem ciepło, para szumi w rurach, świerszczyk dźwięcznie cyka jak na Pacyfiku. Wyszliśmy do Anglii w dużym konwoju, ale drugiej nocy zawadziliśmy norwega i zatopiliśmy go. Po trzech dniach wróciliśmy, rozdartym, pokrytym zwałami lodu statkiem do portu. Świerszczyk zamilkł na dobre.

Powłóczę prawą nogą, mały bezwład w biodrze, bo pospałem na oblodzonej kanapce. Chodzę na nagrzewania, masaż; nie pomaga. Biorę więc statek idący wokół Afryki, z amunicją przeciw Włochom w Abisynii.

To belgijski statek, sami Flamandowie.

Płyniemy sami, czasem zygzakiem, potem już prosto jak strzelił, prawie przez całą długość Atlantyku. Słońce i słońce, trochę chłodu przy Przylądku Burz, i dopiero spiekota na Oceanie Indyjskim. Ocean jest szmaragdowy. Przy Mozambiku zaciąga odorem dżungli, przy Zanzibarze goździkami. Wielka przejrzystość powietrza, suche wysokie niebo. Fale wpadają w zielonawy odcień. Z Mombasy kierują nas do Aleksandrii. Przeszliśmy równik, a tu coraz większa spiekota. Minęliśmy cypel pustynnego Somali. Arabskie żaglowce o wielkim skrzydle. Piec Morza Czerwonego. Moja noga już nie spóźnia się, dopaliło ją słońce.

Potem, już na innym statku, przebywałem ten piec nieraz. Odmykał się Adenem; tam bure, wypalone skały. Biblijny raj zionie piekłem. Naga Sokotra. Słońce. Wielkie odległości. Tu pogoda, jeśli się już ustali, trwa. I dlatego ten śródlądowy ocean jest najgorętszy. Bardzo lubią go Norwegowie, o takiej żegludze marzyli Wikingowie. Przy zachodach słońca nad horyzontem często pojawiają się chmurki, we wszystkich kolorach i w ciągle zmiennej tonacji. Słońce zapada, a odbłask jeszcze pozostaje na chmurach. Na wschodzie zapalają się gwiazdy, stamtąd zaciąga czerń i otula ocean. Tam Cejlon,

cały jak ogród. Syngalezi upierają się, że to tu był raj. Dla żeglarzy rajem jest Polinezja.

Znów długi przelot do Sumatry...

Północny Atlantyk jawi mi się jako groźny Wiking. Pacyfik harmonijnie wtopił się w urodę Kanaka. Indyjski jest jak Arab, obrzeżony urodą zawsze nabożnego kupca i rabusia.

77

W drugim dniu inwazji na kontynent widziałem setki statków. Był to najpiękniejszy dzień wojny. Latami musieliśmy się natrudzić, by przeskoczyć Angielski Rów, Droga była daleka, wiodła przez oceany.

78

Ciemną nocą, pod murem ruiny, żarzył się i mienił szerokim kręgiem węgiel z przepalonych gałęzi. Wywijały się czerwone języki, żarłoczne i prężne przed skonaniem.

Stałem, jakbym nagle zatrzymał się w pędzie, zdziwiony, że prowadziło to donikąd. Jak dziki wpatrywałem się w ogień. Dawał ostatnie schronienie samotności, był żywy i najwdzięczniejszy, gdy go podsyciałem. Ale nie dawał domu ani nadziei, poniechałem więc złudnych wróżb. W liściach ogromnej wierzby szumiał wiatr, szedł niski, jednostajny poszum z puszczy. Fale Zalewu jazgotliwie omywały brzeg. W odległej wsi spały już wszystkie psy. Za murem, w przejściu wąwozu, było cicho i ciepło. Ogień skupiał mnie i urzekał, wpatrywałem się weń, wchodziłem w głąb siebie. Było już dobrze po północy. Zenek spał od samego zmroku, jakby chciał wszystko przespać. Przez miesiąc nie złapaliśmy nic, trochę tylko węgorzy na haki i szczupaków włoczkiem, na własne potrzeby. Nie łapali i inni, chociaż wzdłuż brzegu stał las drągów. Z początku rybacy podbierali jeszcze żaki, ale nic tam nie było, więc zaprzestali. Od kilku dni wyskakiwała na zwiady łódka i znów nic nie

było.

Nie przybyliśmy tu na pstrągi. Zamierzaliśmy z rybołówstwa wybudować dom, choć nie widziałem rybaka, ani nie słyszałem o takim, który by dokonał tego nad naszym Zalewem i na całym wybrzeżu, aż po Koszaliń-

79

skie. A ci tu, półlitrowi aferzyści, byli mądrzejsi od nas o niebo.

Od początku czerwca dał zachodni wiatr, opadał i znów wzbierał. Było zimno jak wczesną wiosną. Plandeka dziesięcioosobowego namiotu, rozpostarta wewnątrz murów ruiny, chroniła nas nieźle, nawet w ulewach. Na beton narzuciliśmy trochę gałęzi i spaliśmy na nich, aż Zenka zaczęło łupać w stawach. Wtedy wziąłem siekierę i zrąbałem w przyległym rezerwacie kilka drzewek. W tym przestępstwie Zenek nie ruszył nawet palcem. Zrobiliśmy z okrąglaków podwyższenie na jakie trzydzieści centymetrów. Na naszej ziemi obcieliśmy dwie okazałe wierzby. Najpierw układaliśmy najgrubsze gałęzie, na nich coraz to cieńsze, a wierzch jak puchem zarzuciliśmy najdelikatniejszymi końcami. To łoże, trzy metry na trzy, miało barbarzyński przepych i urok. Każda baba ze wsi, czy wyrafinowane turystki, kiedy

spoglądały na nie, uśmiechały się trochę wstydliwie i miały ochotę legnąć. Niektórym pozwalaliśmy. Potem siłą ściągnęli je ich chłopcy i ciągnęli za sobą. Po wierzbach zostały grube pnie, sąsiedzi spoglądali na nie i pytali nas z uśmiechem, ale poważnie, czy mieliśmy z powiatu pozwolenie na ścięcie. Ale cóż to miało za znaczenie? Zenka przestało łupać w stawach. Nie łowiliśmy ryb, nie łowili też rybacy z Lubina, ale oni mieli gospodarstwa z trzodą, z krowami. My przejadaliśmy ostatnie pieniądze, zaległość wypłaty Zenka, którą przysłała mu huta. Każdy z osobna zaczął myśleć o odwrocie, ze wstydu nie przyznając się do tego, aż jednocześnie i zgodnie przyznaliśmy, że nie ma sensu trwać tu dłużej. Z poczty w Wapienicy Zenek zadzwonił do Ośrodka Żeglarskiego w Trzebieży. Telefon

odebrała żona kierownika. Odpowiedziała mu z wesołą drwiną:

– Jak żeście zajechali, tak i odjedźcie.

Zbłąźniliśmy się, chciała wykrzesać z nas więcej dzielności. Nie przydałaby się ona na wiele.

Przez cały czas trwała niemal sztormowa pogoda i było niezwykle zimno jak na te porę roku.

Ogień przymierał, zrobiło się ciemno.

Zgarnąłem żar.

Wyszedłem z za muru. W twarz zawiało lepkie wichrzysko. Łódka nie biła o cement. Woda pochlipywała na burtach. Linki trzymały dobrze.

Za drugim basenem latały wypryski nad kesonem. Wysoko, nad konarami, huczała jak organy ogromna wierzba, nigdy takiej przedtem nie widzieliśmy. Pozbierałem najcieńsze gałązki, ująłem je oburącz i tak szedłem z powrotem.

Otuliłem żar. Potem znosiłem i nakładałem coraz to grubsze gałęzie, a na nie kilka porzniętych kłód. W końcu przyniosłem mój niższy stołek z pnia, postawiłem opodal ognia i usiadłem. Gałęzie syczały opornie. Przyduszone kłodami schły szybko. Wybłysnął płomyk i zgasł, pojawił się z trzaskiem drugi, wił się, pożerał gałęzie i rósł, rozpychał ciemność i grzał, aż zapłonął z hukiem. Wstałem i odsunąłem stołek. Na stosie zapłonęła trzymetrowa żagiew. Na pewno widać ją było w

Trzebieży, ale tam radośnie utrudzeni żeglarze spali twardo. Cofałem się przed spiekotą i odwracałem twarz. „Przy takim ogniu powinna odbywać się gwarna biesiada z węgorskim obżarstwem. Jednak nie będzie takiej...”

Dawno chciałem się wygrzać do gorącości za wszystkie zimne dni, wygrzać się i podnieść mego słabego ducha żywiołem ognia. O sto pięćdziesiąt metrów stąd,

81

na najwyższej naszej górze, tysiąc lat temu moi plemienni bracia też palili ogień. Ogrzewali swoje zziębłe ciała i na pewno marzyli o krajach z wiecznym słońcem. Czemu nie poszli za tym marzeniem jak Wikingowie? Poprawiłem osiadłe już na żarze zajęte ogniem pniaki i podgarnąłem kijkiem końce niedopalonych gałęzi. Przyniosłem jeszcze dwie długie kłody i położyłem je przez środek. Rozebrałem się do slipów i spacerowałem w krótkich nawrotach. Nareszcie mogłem się swobodnie rozprostować. Spiekota była jak na Saharze przy rzeźwym powietrzu północy. Rozsiadłem się swobodnie. Każde włókno żarzyło się we mnie. Zapaliłem papierosa.

Żona kierownika kpiła z nas wesoło. Na wyspę przywiózł nas kapitan Kupła, setny chłop.

Płynęliśmy „Ira”, najpiękniejszym jachtem w Szczecinie, z półtoną dobytku gospodarskiego, ze sprzętem rybackim i z naszą łódeczką na holu. Był to pyszny przyjazd, a teraz... Myśl, aby jak najszybciej stąd odejść. Lecz jak? Kierownik ośrodka po kilku dniach na pewno przyśle jeden z kilkunastu jachtów i załadujemy wszystkie kłamoty. Byłby to jedyny sposób. Co najwyżej kierownik przytrzyma nas trochę dłużej na wyspie, by nam lepiej dopiekło. Naszej łódki nie można było brać pod uwagę, była zbyt mała, do tego płaskodenna. Początkową stateczność miała bardzo dużą, ale na fali traciła ją szybko i mogła się gwałtownie wywrócić. Rybacy mówili o niej „dobre to na staw, ale tu — pływająca trumna” i skręcali głowami trwożliwie. Gdybym mógł dotrzeć do Trzebieży, ponagliłbym kierownika i przypłynął tu jachtem. Jak jednak dostać się do Trzebieży?...

Miejscowi rybacy tu mieli swoje łowiska, nie pły-

wali na tamtą stronę, a maleństwa pasażerskie, idące z Wickowa do Szczecina, nie zawijały do Trzebieży. Znów lądem byłoby pięć razy dalej, głupi mózół. Przepłynąłem kawał świata, nigdzie nie było tak beznadziejnie. Utknąłem w tym kaczym dołku. Śmiech. Choć, gdyby Zalew był jak lustro, można by spróbować na wiosłach. Piętnaście mil, dobre pół dnia uważnego wiosłowania przy wyskakujących dulkach, wadliwie do tego zamocowanych w tyle środka długości. Trudno byłoby utrzymać kierunek, a gdyby zerwał się wiatr, byłoby wręcz krucho. Łódź miała ożaglowanie, ale nie miała miecza. Przy bocznym wietrze, jak teraz, zdryfowałyby w lewo, w dżungłę trzcin... Takie „gdyby, gdyby” można by wyliczać bez końca. A na wodzie nie można stwarzać sytuacji, trzeba je brać takimi, jakie są, i próbować przebijać się.

Zrozumiałem z całą ostrością, że moje rojenia są więcej niż śmieszne. Ja, marynarz, nigdy w życiu nie byłem w małej żaglówce, do tego sam, nigdy nie trzymałem jedną ręką steru, a drugą szotu. Byłem sam, ale do głębi odczułem najdotkliwszy wstyd. W marynarce wojennej byłem nędznym przebierańcem. Potem ładnych kilka lat spędziłem w handlowej. Na frachtowcach zawsze na sucho pozorowaliśmy alarm szalupowy i tylko raz lub dwa razy w

roku, na jakiejś spokojnej redzie, opływaliśmy statek wokoło. Siedziałem przy ciężkim wiośle jak przy drągu, przy sterze zawsze był oficer. A na pakebotach byłem po prostu żywą śrubką... Noc nie ukryła mojego wstydu. Przepalone przez pół długie kłody przesunąłem na środek zarzewia, popędziłem po nowe i ułożyłem je na wierzchu. Przysunąłem pniak i znów usiadłem. Ogień grzał, ale nie cieszył.

83

Wypaliłem kilka papierosów. Coraz głośniejsze i częściej odzywały się ptaki z rezerwatu.

Siedziałem tak w zamroczeniu, aż zrobiło się widno. Wyszedłem na brzeg. Słońce wzniosło się już, czerwone i ponure. Pod Karnocicami wznosiły się i opadały na fali białe puszeki łabędzi. Wszystkie bez przychówka, wyziębły jaja. Na pocieszenie zebrały się w ogromne stado. Zamglony Zalew chlupotał monotonnie. Trzebieży nie było widać, trochę jakby widoczny był Chełminek.

Wróciłem do ognia. Wysoko polatywały chmury, aż przesłoniły słońce. Ponuro odpędzałem strzępy myśli nie związanej z sytuacją. „Muszę zatelefonować, i to dziś”. Ale przypomniało mi się, że to niedziela, że telefonowanie trzeba będzie odłożyć do jutra. Nagle

wydało mi się, że wierzby przestały szumieć. Podniosłem głowę. Zerwałem się i przeszedłem wzdłuż ruiny na brzeg szerokiego występu. Nie poczułem nawet tchnienia wiatru na twarzy. Na stumetrowej górze gałęzie drzew skłaniały się prawie na południe. Wiatr zelżał i wykręcił się na północny. Nie wiał wprost na Trzebież, lecz trochę w lewo, ale tyle mógłbym zrobić nawet naszą łódeczką bez miecza.

Zrobiło się jeszcze zimniej. Ubrałem się powoli, z rozmysłem. Podciągnąłem łódkę, przywiązałem do nabrzeża i wszedłem do niej. Zsunąłem rękawy za łokcie. Wyrzuciłem na brzeg podłogę. Starą koszulą wymyłem środek, potem czerpakiem wylałem wodę. Podłogę myłem fragmentami, przymierzając poszczególne części. Z murów wyszedł Zenek, smukły, krzepki, z ręcznikiem na karku. Był ponury, nie zwracał na mnie uwagi. Musiało mu już dobrze dojeść. Kiedy się już wycierał spojrział na dymiące kłody.

– Nie spałeś? — w jego głosie brzmiała serdeczna wymówka.

– Nie!

– Wybierasz się na ryby? — podjął z kpiną.

– Na drugą stronę — odpowiedziałem ściszonego głosem.

Zaśmiał się głośno, jak z dobrego dowcipu.

– A może byśmy co zjedli? — zaproponował pojednawczo.

– Nie — odpowiedziałem z uciechą.

Wypełniała mnie wielka namiętność i radośnie kierowała do spełnienia zamiaru. Czułem się rześki jakbym przespał dwie noce z rzędu.

Jedzenie w ogóle nie istniało. Przyniosłem maszt obwiązany żaglami. Rozłożyłem to na nabrzeżu, sprawdziłem linki i złożyłem tak, by wygodniej można było przenieść całość na łódź. Zenek palił papierosa i przyglądał mi się.

– Pomóż mi wstawić maszt — zawołałem ostro i pogodnie.

– Ja nie przyłożę ręki do samobójstwa — mówił stanowczo. — Tyle umiesz, co i ja.

Tak było. I on był w marynarce wojennej: mat, radiotelegrafista, a wiosłować nauczył się dopiero tu. Przesunąłem cały osprzęt żaglowy na sam skraj nabrzeża, potem chwyciłem go z łodzi i układałem na niej. Rozłożyłem odpowiednio, uniosłem maszt, wstawiłem piętą w gniazdo,

dopchnąłem do jarzma i przykręciłem klamrę. Ściągaczami usztywniłem wanty i sztag. Wypróbowałem ręką sterczący wysoko patyk, ani drgnął. Podciągnąłem fok, dalej grot. Potem dałem luz i zamocowałem końce tuż przy siedzeniu, na listwie lewej burty. Lewy hals pasował mi do wiatru, nim spo-

85

dziewałem się pójść całą drogę. Wyskoczyłem na brzeg i popatrzyłem, ogarnął mnie zachwyty. Jakoś składnie mi poszło, mimo iż nigdy tego nie robiłem. Poznosiłem najpotrzebniejsze wyposażenie. Sklarowałem kotwicę z liną i umieściłem na dziobie, tuż przy schowku. Pod pierwszą ławą zaparłem koliami lin wiadro, by nie latało. Dalej położyłem na płask koło ratunkowe, a pas korkowy z boku, tuż przy nogach. Założyłem ster i popatrzyłem na Zenka. – Będę telefonował, czy dopłynąłeś — zapowiedział poważnie.

Nic by to nie pomogło, ale jego serdeczność zagrzała mnie.

Za górzystym brzegiem nie było wiatru.

Wyszedłem na wiosłach z basenu. Po kilkudziesięciu metrach odczułem pierwsze tchnienie. Wyjąłem wiosła z dulek i złożyłem je w łodzi.

– Tu sobie popływaj. Ja też spróbuję — doleciał mnie łagodny głos Zenka.

Nie miałem czasu na odpowiedź. Wybrałem fok i zamocowałem. Lewą ręką ująłem szot grota, a prawą ster.

Dryfowało mnie bokiem. Podciągałem szot aż do oporu, grot złapał wiatr. Łódź zaczęła sunąć. Wysterowałem do wiatru. Wszystko robiłem nie w porę i nie wiedziałem, co będzie dalej. Łódź telepała się jak głupia. Ale coraz lepiej wyczuwałem szot. Z fokiem nie miałem żadnego kłopotu, dobrze brał wiatr. Najwięcej bałem się, by mnie nie zdryfowało na Kopie, toteż z miejsca postanowiłem zarabiać w prawo. Robiłem to tak gorliwie, że aż łódź weszła w dryf. Wysterowałem od wiatru i znów nabrałem szybkości. Już nie wpada-

łem w dryf, ale jak chytrus, do ostatnich możliwości, ciągnąłem w prawo. Usłyszałem dwa wystrzały i krzyki „hu! hu!”, jak na wilka. Spojrzałem na brzeg, rozpoznałem Zenka, kolorowe sukienki i dwóch mężczyzn. Wszyscy byli już bardzo mali: pewno siostry Marcinkowskie z Międzyzdrojów, urocze, o ciętych języczkach, obok Grudziński i Jordan, jeszcze więksi kpiarze. Ani mi się śniło wracać. Sunąłem wolno i ciągle ostro do wiatru, zarabiałem, jak tylko mogłem, by nie skończyć w Kopicach...

W pewnej chwili nie zdążyłem puścić szotu, wiatr przydusił grot i kiedy był już w łopocie, znalazł się końcem bomu w wodzie. Łódź gwałtownie przechyliła się na lewą burtę. Odruchowo podałem ciało w przeciwną stronę. Przeszył mnie zimny strach, a w następnej sekundzie gorąco oblało mi grzbiet. Metrowa fala podbijała ściętą rufę, przelewała się czubem i skręcała łódź. Szczęście, że zamocowałem koniec szotu, bo pofrunąłby z wiatrem.

Wybrałem go ostrożnie, aż grot chwycił wiatr. Drugą ręką napierałem na ster. Sunąłem. Ciągle była chwiejba, ale już nie tak groźna, jak w bezruchu. Byłem z pół mili od brzegu. „Mogę jeszcze wrócić na wiosłach”, pomyślałem, ale wiedziałem, że przekreśliłbym tym całe moje

marynarstwo, skonałaby namiętność, a zagnieździłby się strach. Niczego nie można było zepchnąć na kogoś innego, był to najsurowszy, najsprawiedliwszy sprawdzian. Ściągnąłem sweter, jakbym miał się żarzyć, a wcale nie było mi ciepło...

Wiatr dmuchał teraz ostro, ale i równo. Dobry był fok, nieznacznie, ale i bez kłopotu ciągnął na przeprzążkę. Skupiłem się całkowicie. Cały byłem czuciem: grota, steru i balastowania ciałem. Odrzuciłem projekt

87

natychmiastowego zarabiania w prawo, na to starczy przecież całej drogi. Zresztą — nie wolno mi było zrobić większego błędu, by byłoby krucho. I tak jeszcze latał dziób, kiedy nie potrafiłem zgrać steru z łapaniem wiatru. Również przy złym balastowaniu łódź szła niemrawo. Starąłem się więc jednocześnie i równorzędnie trzymać całą tę trójcę w rygorze. Udawało mi się to coraz lepiej. Szybkość oceniałem więcej czuciem niż wzrokiem, a tylko trochę słuchem.

Łódź szła dobrze, woda jednostajnie bulgotała za rufą. Nie rozglądałem się, patrzyłem tylko na ledwo widoczny we mgle Chełminek i kierowałem w prawo od niego. Fala była coraz

większa i niegroźna. W chyżym biegu łódź wznosiła się łagodnie i opadała. Napięty ciągle do ostatnich granic zacząłem odczuwać wyczerpanie. Nawet mój oddech był rytmem biegu łodzi. Głęboko odetchnąłem kilka razy i rozluźniłem się. Wziąłem lżej. Spoglądałem na równo sunące fale, niektóre z nich zabielały się kąśliwie: były tam szarozielone wgłębienia ze smużkami pianki i żyłkami powietrza. Woda szybko uciekała po burtach. Trochę swobody, chwila wytchnienia. Brama torowa przed Chełminkiem była widoczna coraz ostrzej. Ujrzałem czerwony dach ośrodka w Trzebieży. Droga była prosta. Wiatr dopiero co zmienił kierunek, ale nim oddmuchałby swoje, ja zdążę na miejsce. Zdobyłem się na spojrzenie w tył. Dalekie szeregi fal o szczytach w ząbki. Przebyłem już kawał wody. Czerwona plamka murów ruiny, bez śladu moich kochanych szyderców. Ani Zenka w tragicznym nastroju. Chyba nie boi się już o mnie, teraz powinien mi zazdrościć...

Klif ciągle był majestatyczny, jaśniał urwiskami,

z zielonym kozuchem na szczycie. Znów patrzyłem przed siebie i pilnowałem biegu, ale już miałem trochę czasu. To ten klif był moją rafa, przez niego najadłem się strachu. Kiedy wypłynąłem spod jego osłony, runął na mnie wiatr. Niewiadoma czy przypadek zawsze będą działać, ale prawie wszystkie przyczyny niepowodzeń tkwią jednak w człowieku i jeśli człowiek chce być sobą, powinien je tropić przede wszystkim w sobie. Wszystkie powody były więc we mnie: żadnych umiejętności, trochę tylko pojęcia o żeglowaniu. Ale jakby mi kto grzbiet oblał warem — to instynkt odpędzał gwałtownie zimny strach. Przyszedł refleks i przyszło wystarczająco sprawne działanie. Zaśmiałem się z mojej mądrości w grzbiecie, wolałbym mieć ją w głowie. Bywają wypadki, że ktoś wpadnie do głębokiej wody i z miejsca nauczy się pływać. Ze mną nie było aż tak źle. W ostateczności wszedłbym w koło ratunkowe i rękami dowiosłowałbym wprost na łup moich szyderców. Pozbawiłem ich jednak zabawy, zrobiłem im na złość. Roześmiałem się. Łódka sunęła gładko. Jak łatwo ją prowadzić, słucha jak kobieta prowadzona za rączkę. Byłem zdany tylko na siebie, byłem sam, i było mi dobrze. Dobył się ze mnie pomruk zadowolenia, przeszedł w melodyjne wycie. Była w nim radość,

zuchwałość, było wyzwanie. Wokół mnie pędziły fale jak przyjazne psiaki. Od strony Niemiec horyzont jak na morzu, dobry kawałek wody...

Ławami szły coraz większe fale, w ich rytmie łódź wznosiła się i opadała. Z lewej strony wyrosła piramida żagli dużego jachtu. Szedł równo, ale fale obmywały go aż do pokładu, leciały wypryski. Moja łódeczka ciągle tańczyła na czubach fal, ale szła bardziej sucho.

89

Skupiłem się, by szybko przelecieć obok niego. Znaleźliśmy się blisko siebie. Na pokładzie jachtu było rojno, wszyscy byli w kapturach i w sztormowych ubraniach. Przed samym mijaniem ogromny jego grot poszedł w łopot. Przy relingu ktoś wołał z tubą przy ustach:

– Gdzie tu jest boja KW-E?

– Nie wiem — odpowiedziałem krótko.

Nie mogłem pozwolić sobie na rozmówki. W mojej łupinie bezruch nie byłby miły ani bezpieczny. Musiałem drzeć po falach.

Podniosłem lewą rękę z szotem w dłoni, wzniosły się ręce na jachcie, poleciałem dalej. Odczułem chłód. Stopą przydusiłem szot, sięgnąłem po sweter i wciągnąłem szybko, puszczając na chwilę ster. Zachciało mi się

trochę pohulać, postanowiłem wyciągnąć z łodzi jak największą szybkość. Znów przyłożyłem się z czuciem do steru, do grotu, do balastowania ciałem. Spostrzegłem, że obserwowanie, jak łódź nabiera szybkości, pomagało mi w zharmonizowaniu działań. Aż grało! Łódź biła dnem o fale, leciała po nich susami, w równym ciągu, coraz szybciej i szybciej, w lot z wiatrem. Grot cisnął, chciał się wyrwać. Rozpierała mnie radość, ale trzymałem ją w ryzach, by zachować władzę nad łodzią, która zaczynała drzeć. Aż w chybocie wyszła z lotu! Tak łatwo, tym małym chybnięciem, pozbyła się mojej władzy! To była moja wina, nie potrafiłem wytrzymać napięcia, wzbierająca radość zniszczyła pęd.

Postanowiłem robić to samo na zimno. Ale bez żaru zmysły moje nie miały tej pełni wyczucia. Trudniej mi było wprowadzić łódź w lot.

Wszedłem jednak w lot i trwał on teraz dłużej. Później małe, wcale nie brutalne chybnięcie wybiło mnie

z niego. I znów wszedłem — zdaje się dość łatwo. Ale lot trwał nie dłużej niż dwie minuty. Krótka radość. Na doskonałej łodzi z ożaglowaniem być może potrafiłbym utrzymać taki lot bardzo długo, wtedy dopiero byłyby regaty!

Do szczęścia brakowało mi jeszcze słońca. Zrzuciłbym przyodziewek: rozkosz skóry! Polinezja! Ale nie zanosilo się na nią, niebo było w brudnej powłoce. Szedłem zygzakiem, małymi manewrami. Sądziłem, że mógłbym wykręcić koło, ale nie byłoby to łatwe bez miecza i straciłbym sporo z przebytej drogi. Brama torowa została już z prawej w tyle. Przeszedł frachtowiec ze Szczecina. Większa fala przelała się wierzchem przez rufę i oblała mi pupę. To po frachtowcu, że też sięgnęła tak daleko! Na łodzi nie miałem dziesięciometrowej burty, tym większa była radość. Nie byłem żywą śrubką, jak koledzy na frachtowcu. Sam byłem całą załogą. Potem szedł od Szczecina jeszcze większy dubas, minął mnie, a za nim zgrubiały krąg ścinał się z falami i toczył dalej. Wstałem na przyjęcie go, podparłem się ławką i podałem w przód. Krąg fal zrównał się z deskami. Odciążona rufa uniosła się sucho. Doszedł drugi krąg, trzeci, oba już mniejsze. Więcej statków nie było, przepłynąłem tor bez zmiany

kierunku...

Przy kosie Chełminka płynęło w stronę Świnoujścia białe cacko. To „Ira”, prowadzi ją Kupla. Nie mogłem jej wcześniej zobaczyć, skrywała ją wyspa. Co za radość, gdybyśmy się spotkali! Wołałem ile tchu. Na próżno. A oni tam na pewno dobrze się bawili. Przy samym stąpieniu na takie cudeńko skacze w człowieku szczęście. Ja jednak nie przesiadłbym się już, nie od-

91

dałbym swoich kilkunastu mil za oceaniczny rejs na „Leonardzie”, w luksusowej klasie.

Od Warpna ciągnęły się na motorach rybackie żółtka. Widać było kolorowe domki kempingowe, coraz wyraźniej zbliżała się plaża, na niej żywego ciała. Dostrzegłem okna ośrodka żeglarskiego, czerwony dach wyrósł jak na stodole. Skończyłem z zarabianiem w prawo, zacząłem smalić wprost, z wiatrem. Wyczułem najlepszy ciąg i umocowałem szot. Lewa ręka była wolna, niech sobie odpocznie. Zasłonięty grotem fok stracił wiatr, przeciągnąłem go na drugą stronę i wyszło mi nawet na motyla. Ciągnąłem dobrze, ale nie udało mi się wpaść w lot, choć powinno to być łatwe, bo prawie nie było balastowania. Rufa chodziła trochę, ale

może ster miał za małe pióro...

Wyszło gorące słońce, niebo oczyściło się, ale nie było już po co rozbierać się: „stodoła” leciała wprost na mnie. Znowu przeciągnąłem fok, by mi pomógł na końcu drogi. Zrozumiałem jednak, że to na próżno, bo musiałbym wrócić trochę pod wiatr, a moja łódź nie poszłaby przecież nawet z półwiatrem. Pędziłem środkiem wejścia i skręciłem za kesonem basenu. Puściłem żagle w łopot i wysterowałem pod wiatr. Łódź wytraciła rozpęd, ruszyłem kilka razy wiosłami, doszedłem do nabrzeża i uwiązałem.

– No cóż, pomógł sobie wiosłami — usłyszałem nad sobą.

Gromadka żeglarzy uśmiechała się powściągliwie. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że hańbą dla żeglarza jest dobijać na wiosłach. Spuściłem żagle i ułożyłem. Włożyłem sandały i wyskoczyłem na nabrzeże. Spojrzałem na zegarek, docho-

dziła dziesiąta. Zabawa trwała trochę więcej niż dwie i pół godziny.

– Skąd to? — zapytał mnie jeden z kapitanów.

– Z Lubina — odpowiedziałem. Spojrzał na mnie pytająco, czy nie żartuję.

– Na tym tu? — rzucił okiem na moją łódź.

– Tak.

– Siła wiatru cztery, ryzykował pan życiem — strofował mnie dobrotliwie jak niesforne go chłopca.

Uśmiechnąłem się. Wydawało mi się, że poznałem jeszcze jeden ocean.

93

GORZAŁA

Wychyliłem jednym haustem, jakby to była woda. Uczułem w brzuchu małe, ześrodkowane ciepło, ale cały byłem jeszcze drętwy z zimna. Potężnie sklepiiony chłop znów rozlewał w szklanki.

– Pij pan — przynaglał i cisnął wzrokiem górną, uroczyście.

Widywałem go, jak chodził do swojego ogródka meteorologicznego. Był masywny, wydawał mi się ponury, nigdy nie zamieniliśmy jednego

słowa. Znaliśmy się chwilę, ale starczyła nam za połowę życia. Była ona całym życiem innej istoty, maleńkiej, kruchej i pięknej. Po tym, co się stało, profanacją byłoby mówić sobie pan.

– Wyrzuć to słowo. Przecież mówiłem ci już ty...

– Ja bym nie poszedł — odpowiedział szybko z tragiczną szczerością. — Serce — lewą dłonią dotknął piersi. — Jeszcze boli. Ja to odchoruję. Uratowałeś mnie i matkę. Uratowałeś wiele ludzi.

– Uratowałem i siebie — wcisnąłem mu się między słowa.

– Och, to byłoby... — wrzasnął, jakby skupił się w nim ból wszystkich. — Nie przeżyłbym tego — wymówił zupełnie złamany.

– Przestań — zawołałem ostro. — Robi się, co można.

Pij, bo będzie zapalenie płuc — teraz całe jego

wielkie wzruszenie skupiło się na mnie. —

Najlepiej pij z butelki, do połowy.

Nigdy nie lubiłem wódki, zawsze otrząsałem się po kieliszku. Pić z butelki byłoby i niemożliwe, i obrzydliwe.

— Napijemy się obaj — odpowiedziałem.

Podnieśliśmy szklanki, powiedzieliśmy sobie swoje imiona i wypiliśmy. Staś nalewał gorliwie, ochłonał jakby z przygnębienia.

— Że też poszedłeś, że się nie bałeś... —
zadźwięczało w nim radością.

— Trzeba było. Bałem się, że utonie. Dzielnie walczyła o swoje życie.

— Ze też nie słyszałeś. Wołałem.

— Myślałem, że to jakiś pijak. Lubię spokój.

— Ja pijak? — obraził się. — Pij — zwrócił się do mnie z dbałością. — Należy ci się.

— I tobie też. Gdyby nie ty, mogłoby być gorzej. Wychyliliśmy. Czułem, jak ciepło coraz szerzej rozlewa się w brzuchu kręgami.

Podczas jednej z moich ucieczek z domu byłem tu całą zimę. Budynek Ośrodka Żeglarskiego stał na uboczu, tuż przy wyjściu z basenu jachtowego. Kiedy byłem już zupełnie zasiedziały, wciągałem gumowe buty z cholewami i wychodziłem na spacer. Szare niebo i śnieg, dni były mroczne jak pod kołem polarnym.

Zalew był skuty lodem. Odległy łoskot, „Swarożyc” przecierał tor. Szedłem brzegiem Zalewu, za pierwszymi sosnami skręcałem trochę w lewo, aż wychodziłem w bezdroże leśne, kierując się na prześwity i golizny. Wymijałem zasy brodząc po kolana. Żadnego śladu, żadnego głosu ptaka. Obchodziłem małe zagajniki nie

95

do przebrnięcia, zadaszone białymi czapami. Pilnowałem się, by nie stracić kierunku i tak osiągałem szosę idącą do Warpna. Koliskiem wracałem do miasteczka. Pierwsze domki Trzebieży. Z prawej strony trochę oddalony, czerwony, opustoszały budynek — wiedziałem, że to stacja kolejowa. Wchodziłem w pokrzywioną, długą ulicę. Śnieżną pustać, tylko dymy snuły się nad kominami. W sklepiku kilku ludzi w zimowym półśnie. Kupowałem prowiant na kilka dni, wkładałem do powłoczki od poduszki i chociaż nie było to ciężkie, dla wygody zarzucałem na ramię i brnąłem przez pustą wieś do mojego pokoiku. Ogrzewałem go elektryczną kuchenką. Nie było za ciepło, czasami wkładałem na siebie cały swój przyodziewek. Na kuchence pichciłem proste, mocne posiłki, mózg potrzebował mięsa. Dla

tubylców nie istniałem. Wchodziłem w siebie. A odkąd przestałem oglądać telewizję u kierownika ośrodka, mieszkającego w pokoju po drugiej stronie długiego korytarza, byłem już zupełnie odcięty.

Nie mógł pojąć, że nie doceniam cudowności telewizora. „Jesteś dzikus. I trochę dziwak” — dodawał delikatnie. Cóż, nie miałem przekonania do makabrycznego śniegu na ekranie i do ciągłego syczenia. Podsycałem się książkami. Zawsze, choć z niemałym trudem, wynajdywałem jakąś dobrą w miejscowej bibliotece. Z tym ciągłym zbieraniem się w sobie musiałem wyglądać nie najlepiej. Raz w korytarzu, przy przejściu, mimo iż było dużo miejsca, żona kierownika odsunęła się ode mnie i wymówiła: „Och, czy my nie przeszkadzamy panu myśleć?” ... — „Chciałbym umieć myśleć” — odpowiedziałem i uśmiechem przeprosiłem ją za moją niedelikatność. Z pobłażliwą wyrozumiałością

traktowała moją nietowarzyskość. Czuję jej życzliwość i to mnie wspierało. Aż zagnieździłem się na dobre i zacząłem pisać, począwszy od najłatwiejszej noweli i idąc do coraz trudniejszych. A uprawiałem się w ten sposób do najtrudniejszych, do tych, którym jeszcze nie dałbym rady. Miałem stare obrachunki z wojny hiszpańskiej, z moich pragnień i dążeń, z których nic nie wyszło. Czas nie mógł ich zatrzeć. Kiedy łądziłem się ze sobą i wreszcie dochodziłem do spokoju, nachodziły mnie nagle romantyczne nazwy, zlane krwią hiszpańskiego ludu, i dobywał się ze mnie jęk: „Guadalajara, Guadalajara”. Tam najdzielniej biły serca republikanów. Ale rzeczy polityczne, pisane wprost, z reguły wychodzą w literaturze kiepsko. Trzeba by całkowicie odrzucić całą ogromną frazeologię polityczną...

Był już marzec. Od kilku dni słońce rzuciło się mocno. Zniknął śnieg. Kruchy lód na Zalewie nie strzelał już pod naporem lodołamaczy. Kierownik wraz z żoną wyjechał w góry na narty. Po pożegnaniu się, kiedy już miał wychodzić z pokoju, zobaczył w kącie linkę. Podniósł ją odruchowo, ciągle robił porządki. Poprosiłem, by ją zostawił. Uśmiechnął się, jakby z jeszcze jednego mojego dziwactwa, rzucił linkę i wyszedł. Przewinąłem ją starannie i

ułożyłem. Nadszedł najpiękniejszy dzień
młodego jeszcze roku. W pokoju pełno było
słońca, skrzył się łód na basenie jachtowym, nad
nim wysokie niebo. Pokonywał mnie uśmiech,
twarz zaczynała drgać, naraz ta „Guadalajara”...
Wybierałem się na spacer — taki dzień! I nagle
zrozumiałem, że to jeszcze jedna ucieczka:
napisałem kilka nowel, należała mi się odsapka.
„Ale i tak nie uciekniesz” — naigrawał się ktoś
ze mnie ze wzgardą. Na

97

próżno się otrząsałem. Zniewolony usiadłem
przy stoliku i zacząłem szkicować plan.
Usłyszałem zawodzący, niezrozumiały krzyk.
„Pewno jakiś pijak nie może wytrzymać na tym
pustkowiu i wyje”. Wstałem, kiedy głos dobieł
się tuż zza okna. Z wysokiego parteru zo-
baczyłem wzburzonego meteorologa.
„Niebezpiecznie się urznął” — pomyślałem.
Zobaczył i on mnie.
— Szybko! szybko! — wycharczał.
Przecząco pokręciłem głową. Nie miałem
ochoty iść.
— Topi się — wrzasnął z wyzwaniem w głosie,
jakby mówił „jesteś potwór”.
Zrozumiałem, że nie jest pijany.
Lewą dłonią chwyciłem zwój linki i wypadłem.

Na basenie nie było żywej duszy, to musiało stać się z boku. Przez suterенę było bliżej, pędziłem w skokach. Na brzegu stał meteorolog, z głową odwróconą do mnie. Biegając do niego byłem pewny, że czeka mnie cholerna kąpiel, a w lodach nigdy jeszcze nikogo nie ratowałem.

„Czy w krze można pływać?”. Zatrzymałem się na skraju lądu. Pośrodku szerokiego wyjścia z basenu jachtowego pokazywała się i znikwała w dziurze lodu głowa o zlepionych włosach z umęczoną twarzą prawie dziecka. Popiskiwała przy tym jak topiona mysz. Czasami starczyło jej sił, by wychynąć tylko ustami i nosem. Mały chłopak podjeżdżał na łyżwach po gnącym się lodzie jak tylko mógł najbliżej i wyciągał rękę. Był beznadziejnie daleko. W każdej chwili i on mógł się zapaść.

– Odejdź! — zawołałem.

Chłopak nie słuchał, podjeżdżał dalej. Całe szczęście, że robił to na znacznej szybkości.

Gdyby stanął, lód

załamałby się pod nim. Nie mógł nic zrobić, mógł się tylko sam utopić.

Prawą dłonią ująłem koniec linki i podałem meteorologowi.

– Idź — wymówiłem twardo. Tak, tak, chciałem się wykręcić...

– Nie pójdę — wrzasnął.

Wyciągnąłem do niego lewą dłoń z kolia.

Chwycił ją skwapliwie. Końcem opasałem się w pasie, w pośpiechu przełożyłem na zacisk,

wybrałem luz i docisnąłem do brzucha. Kocim ruchem wyszedłem na lód, by zejść po nim jak

najdalej. Zaczął giąć się i trzaskać

nieprzyjemnie, aż załamał się i wpadłem do

wody. Wypłynąłem. Wyciągnąłem jedną rękę

na lód, potem drugą, a kiedy zacząłem wdzierać

się piersią — załamał się na nowo. Potem już

łamał mi się pod rękami i tak torowałem sobie

drogę. Kiedy zbliżyłem się do topielicy, szła pod

wodę odwrócona do mnie tyłem. Chwyciłem ją

prawą dłonią za odzież przy karku i zadarłem

głowę. Meteorolog zaczął ściągać linkę.

Sunęliśmy wśród kry. Wychyliłem jej głowę.

Zniknął ucisk w pasie. Lina puściła.

Zatrzymaliśmy się. Zacząłem zagarniać wodę ile

sił nogami i ręką zdobywałem centymetry.

Dziewczynę ciągnąłem pod wodą. Dobrnąłem

do większej tafli, położyłem na niej dłoń z

czuciem, znów wychyliłem jej nos. Meteorolog wyrzucił linkę. Legła na krze, dobrze widoczna, o ponad metr ode mnie. Odepchnąłem się od dziewczyny, wciskając ją pod wodę. Wdrapałem się, jakbym chciał wyskoczyć z wody, chwyciłem linkę. Znów łagodny pęd w krze. Zatrzymałem się przy stałym lodzie. Pod nogami poczułem grunt. Woda po pierś. Podniosłem topielicę. Meteorolog

99

podbiegł i wyciągnął ją. Stała chwiejnie na przekrzywionych łyżwach. „Boże, ile to dziecko ma sił” — zdumiałem się.

– Bierz ją pod pachę i do domu — zawołałem. Chwycił ją i zaczął oddalać się. Dziewczynka przebierała nogami, chciała mu ulżyć.

Wyskoczyłem na lód. Popatrzyłem na ścieżkę w krze, na skutny Zalew: nie był przyjemny, ale i nie był zbyt groźny. Uśmiechnąłem się i skierowałem do domu. Z butów przy każdym stąpieniu sikała woda. Zabawne. To tak jak kiedyś, gdy byłem chłopcem. Zawsze lubiłem wodę.

W kuchni zdjąłem z siebie wszystko i wykręciłem nad ściekiem. Strzepnąłem, zaniósłem do mojego pokoju i rozwiesiłem na podwiązanej lince. Cały natarłem się ręcznikiem

i wbiłem na siebie trykoty. Jedyne to przyodziewek, jaki był suchy. Przed paru dniami kupiłem je w tutejszym sklepiku wielobranżowym. Wszedł meteorolog i stanął pośrodku pokoju.

– Zimno — powiedział.

– Nie czuję — odpowiedziałem. Trwało podniecenie i przyływ wszystkich sił. —
Napijemy się herbaty?

Imbryk z wodą postawiłem na kuchence. Meteorologa posadziłem na krześle, sam usiadłem na łóżku.

– No — no — no — dziwił się głośno, jakby nie mógł pojąć, jak to się stało i czy to naprawdę się stało.

– Dobrze, że ten smyk nie wpadł.

– To jej młodszy braciszek — odpowiedział.

– Skończyło się już — zaśmiałem się, ale meteorolog nie był skory do śmiechu.

Otworzyły się drzwi i delikatnie wsunęła się kobieta w barankowych bamboszkach, w rudym, pospiesznie zarzuconym futrze. Wyjęła spod niego butelkę i bez słowa postawiła na stole. Poderwałem się.

– Przepraszam za koronacyjny strój — powiedziałem onieśmielony. Podsunąłem krzesło, sam z powrotem usiadłem na łóżku. Moje słowa jakby nie dotarły do niej. Nieustępliwie patrzyła z niebieskim błyskiem, z absolutną bezpośredniością, jakby nie istniały stroje, jakby ponad seksem, jakbyśmy ona i ja byli jednością, jakby cały rodzaj ludzki był jednością — z nią, małą, krzepką, rozłożystą, o mlecznej skórze i kasztanowatych włosach. Miast dziękować mówiła jakby w milczeniu: „Musiałeś to zrobić, zrobiłeś swoje”. Nie była zdolna do płaczu, ale gdyby to wszystko skończyło się źle, ryczałyby jak niedźwiedzica... Po chwili jakby odgadła moje myśli: poczuła się kobietą i oczami zmagala się ze mną, broniąc swej zagrożonej niezależności.

– Och, mąż sprawi pani małe lanie i wszystko będzie dobrze — starałem się obrócić rzecz na wesoło.

Nie trafiłem. Spuściła oczy, jakby gotowa poddać się karze. Po chwili podniosła je jak święta. Tylko dumni, i to nieczęsto, miewają

pokorę, ślimaki nie mają jej nigdy.

– Utopiłaby się jak nic — zawołał meteorolog.
Wskazałem na stojącego na stole litra i dodałem:

– Wyprawiała pani chrzciny.

Ale to nie było wcale wesołe. Postawiłem
szklanki. Meteorolog odbił korek i rozlał.

Uroczyście podnieśliśmy szklanki. Nie chciała
pić. Torturowaliśmy ją. Sa-

101

ma nasza obecność była dla niej męką. Byliśmy
najokrutniejszymi świadkami niedopilnowania
dzieci. Z jakąś dziwną rozkoszą poddawała się
cierpieniom. „Mogłaby sobie iść już”

—”pomyślałem.

– Zdrowie małej — wymówił meteorolog.

– Za jej szczęście i radość — dodałem.

Kiedy wychyliliśmy, uśmiechnęła się i jak
przyszła, tak odeszła bez słowa.

– Ona nie ma tu męża, jest w Niemczech
Zachodnich — powiedział ze znaczącym
uśmiechem. Pokręciłem przecząco głową i
dodałem:

– W ten sposób nie można wykorzystywać
swojej przewagi.

I tak ze Stasiem zaczęliśmy picie. Nalewał,
popędzał, wyburzał ze mnie to zimno. Ucieszenie
kłóciliśmy się, jak na chrzcinach, jak to było, i

jak to by było...

– A poszedłbyś bez linki? — natarł wesoło.

– Nie wiem, pewno bym spróbował, ale to nie byłoby dobrze.

– Ze też miałaś ją pod ręką...

Przypomniało mi się, jak pracowałem u Bryła na Politechnice. Rozległ się krzyk. Wybiegłem z laboratorium. Nim dobiegłem do basenu przeciwpożarowego, pozostał tylko trud wyciągnięcia, po oślizgłym, stromym betonie, jakiegoś studenta wraz z małym smykiem. To wtedy przygotowałem sobie kawałek linki, ale nazajutrz, kiedy wybiegłem z nią, znów się spóźniłem. Studenci utworzyli z rąk żywy sznur. Ogrodzono basen, jednak na zawsze pozostała mi świadomość użyteczności linki przy wodzie.

– Jak to się stało, że puściła? — natarł z wyrzutem.

– W pośpiechu przełożyłem na zacisk tylko raz, a powinienem był przełożyć co najmniej dwa razy.

Znów pojawiła się matka z czubatym talerzem mięsnych przekąsek i dużym termosem, jakiego używają rybacy. Ponagliła, byśmy wypili wódkę i naląła do szklanek mocnej herbaty. Gorący war parzył nam wargi. Podsunęła talerz i zachęcała do jedzenia. Nie daliśmy się prosić.

– A może jednego? — nalegał Staś.

Zaprzeczyła z jasnym uśmiechem, jakby znajdując radość tylko w usługiwaniu nam.

Robiła to z promienną ochotą, aż spływała ona i na nas.

– A co z małą? — zapytałem.

– Leży w łóżku, babka jest przy niej. Było pogotowie. Wszystko dobrze, tylko trochę przestraszona.

Sięgnęła dłonią pod futro i położyła na stole zieloną pięćsetkę.

– To macie na wódkę.

– Starczy nam tej, zapilibyśmy się na śmierć — zaprzeczył Staś.

– To kupicie sobie jutro — namawiała nas.

– Jutro nie trzeba, zresztą nie smakowałyby — powiedziałem.

Zbierała się do odejścia.

– Niech pani to weźmie, bo będziemy się gnie-

wać — powiedziałem ostro.

Posłusznie wzięła pieniądze. Spojrzała na mnie opiekuńczo i zapytała:

– Ciepło już?

– Jak nigdy w życiu — odpowiedziałem i nie było w tym przesady.

Popatrzyła na nas. Już dobrze kurzyło nam się

103

z łbów. Uśmiechnęła się widząc, że nam jest dobrze, i wyszła.

Zestawiłem z kuchenki imbryk z gotującą się wodą. Pod obcisłym trykotem paliła mnie skóra. Buchał ze mnie żar jak z pieca. Staś uspokoił się zupełnie. Niebieskie oczy zaczęły zasnuwać się mgiełką.

– Całe życie trudzi się człowiek, trudzi i umiera. Śmieszne.

– Jeśli stracisz wiarę w życie, to przepadłeś, brachu.

– Cóż znaczy człowiek w nieskończoności? — zaśmiał się.

– Potrafi wziąć ją za łeb jednością całego rodzaju ludzkiego, ciągłym odradzaniem się, utrwalaniem wspólnoty marzeń i dążeń.

– Kiedy my, bracie, żyjemy tylko od wojny do wojny. Ci, co nami rządzą, chcą tylko, byśmy się

wzajemnie zarzynali.

– Nie wszyscy. Chcą tego ci, co żyją i chcą żyć z innych. Ale do tego potrzebna przemoc. Jednak w końcu ludzie zmadrzeją i nie będą chcieli zarzynać się. Pozostanie im tylko walka z naturą. Kiedyś opanują ją tysiąc razy pełniej i lepiej niż my teraz. Wyobraź sobie, jacy będą ludzie: potężni i piękni jak bogowie.

– Chciałbym wtedy żyć — zawołał pożądliwie.

– Och, to będzie za setki, może za tysiące pokoleń. Ale to też będzie nasze, z rozkoszy dławiących nasze kobiety, z naszej pracy i myśli.

– Ale mnie wtedy nie będzie.

– Wszystko, co teraz masz, jest z trudu poprzednich ludzi. Chyba, że po frajersku chcesz to pożreć.

– Och, to nie byłoby ładnie — zmiął się. — Bujasz za wysoko, bracie! — zaśmiał się.

– Jeszcze jest coś, co nas wyprostuje —
spojrzałem na szklanki. W butelce już nic nie
było.

On pierwszy uniósł swoją, za nim przechyliłem
ja. Wódka kąsała mnie cierpko w usta, w
przełyk, miała żrący smak solnego kwasu, ognia
i goryczy. Miała smak życia i była podniecająca
jak życie.

– Żłopiesz jak smok — zawołał zdziwiony.

– Jak żyje jeszcze nigdy mi tak nie smakowała
— tłumaczyłem się.

– Wiesz, że i mnie też — uśmiechnął się zgod-
nie.

– No widzisz, a psioczysz na życie.

– Widziałeś, jak ucieszona była matka, gdy tu
była za drugim razem? Taka śliczna córa —
powstrzymał oddech. Przełamał się i znów
zaczął mówić: — Chodzi do piątej klasy, a jak
tańczy, śpiewa i gra na gitarze, najlepiej z całego
zespołu szkolnego.

– Może kiedyś będzie z niej Duncan i Piaff.
Może zobaczymy ją i usłyszymy w telewizji.
Odda nam, i to będzie ta wspólnota.

– Czy musi koniecznie oddać? Niech będzie
zdrową babą, jak jej matka, i niech zdrowo rodzi
dzieci... — zaśmiał się wielkodusznie.

– Masz rację, Stasiu. Niech będzie radosna.
Często bogaty dar jest przekleństwem dla tego,

co go nosi. Ludzie jak ludzie, większość z nich to...

– Przestań, znowu zaczynasz, a my już nic nie mamy na wyprostowanie — przerwał mi w ćwierć zdania. Spojrzał wymownie na stół i pobiegł dokądś.

Dziwne to było — wódka działała odwrotnie. Po każdym haŹcie stawałem się trzeźwiejszy, wszystko wydawało mi się prostsze i widziałem ostrzej. Dopiero

105

teraz zbierało mi się na gadanie. Na czym to mi przerwał? Aha, supłało mi się dalej w myśli:

– ...osobniki mało warte chcą tylko żreć. Zbyt często heroiczność jest dla nich frajerstwem. Dla płonącego mnicha na ulicach Sajgonu mają tylko uśmiech politowania...

Staś wpadł jak bomba.

– Tylko to udało mi się wydobyć od znajomego rybaka. — Idąc, odbił korek z ćwiartki. Rozlał równo w szklanki. — W głowie mam, bracie, młyn — zaśmiał się. — To powinno nas dobić i lulu.

Wypiłem jednym haustem. Staś pokręcił głową. Sam wziął na dwa razy.

– Płuca w porządku?

– Lepsze niż przedtem.

– To bądź zdrow.

Wyciągnął rękę. Krzepko uścisnęliśmy sobie dłonie. Odprowadziłem go do drzwi. Położyłem się na łóżku i wtedy wszystko mi się chybnęło. Na skroniach czułem ucisk, ustępowałam, aż rozplynął się całkowicie.

No, więc jestem prawie właścicielem sporego kawałka ziemi! Trudno mi w to uwierzyć, napełnia mnie to radością i dumą, pęcznieje od fantastycznych planów. Kiedy sobie tak wesoło poczynam, przeraża mnie moja samotność. Jestem zupełnie oderwany od społeczeństwa, w którym żyję, od rodziny licznych kuzynów, siostrzeńców, bratanków, jakby związek krwi dla mnie nie istniał.

Tak nie wyniosę stropu, bo nie doprowadzę do niego, tak można tylko łowić ryby na wędkę! Jeśli łono natury, to tym bardziej w zasięgu ręki najdoskonalsze narzędzia, by życie urządzić po ludzku. A tu w pojedynkę można tylko zdziczeć i skarleć duchowo. Nie ponura robinsonada z czarnym Piętaszkiem, lecz dobrana gromadka wolnych i równych. Z takimi można czynić cuda, niebo ściągnąć na ziemię. Takich właśnie szukam. Nie jest to łatwe, mimo, że żyję w roju ludzkim. Do niektórych z moich licznych znajomych, chłopów na schwał, godnych zaufania i z wyobraźnią, mówię: — Słuchaj, chłopie, mam pięć i pół hektara ziemi— uśmiechają się, to do mnie mocno nie pasuje — południowy stok nad Zalewem graniczący z rezerwatem leśnym. Stumetrowa góra, puszcza i

woda, królewskie miejsce, drugiego takiego nie ma na całym naszym Wybrzeżu!

— Można by kozy paść — przywołują mnie do rozsądku.

107

— Można by i kozy — odpowiadam zgodliwie — ale wyobrażasz sobie sad? W słoneczny dzień jest o dziesięć stopni cieplej niż gdzie indziej, a pięćdziesiąt metrów od brzegu najrybniejsze miejsce na całym Zalewie! — Przystają się śmiać, bo każdy z nas jest trochę chłopem, a wielu z nas w swym życiu bywało rybakami.

— A gdzie będziesz mieszkał? — zaczynają się interesować — a ziemia jaka?

— Są dwa zrujnowane domki i hangar rybacki, a przed nim obetonowana przystań — własny port. Pustka przestawała straszyć. Chcieliby mieszkać w takim miejscu. Każdy jest podatny na piękno. Ale na to potrzeba dużo pieniędzy. Otóż mogą zarabiać na rybach. Musimy mieć łódkę i trochę sprzętu rybackiego, a to jest osiągalne.

Mówiliśmy o rozkoszy wykrzesania z siebie trochę męskiej dzielności, o satysfakcji z ciężkiej pracy.

Podoba się to wszystkim. Jakieś spóźnione pragnienie szukania szerokiej przestrzeni życiowej. Niektórzy chcą uciec od

automatyzacji, chcą żyć harmonijnie. Inni widzą wielką przygodę i myślą o wypłynięciu stamtąd na połowy na dalekich wodach. Chcą nie tylko godziwie zdobywać swój chleb, ale i próbować wszystkich sił, czymś się wykazać.

Podoba się wszystkim, a prawie nikt nie wierzy w możliwość zrealizowania tego. Przy całym znoju jest to za bajeczne, za piękne! Są za mocno zasiedziali, by uwierzyć w taką inność. Śpią w domach, które im odbudowano, pracę dostają do rąk, a kiedy nudzą się, mają pretensję do rządu, że nie zaplanował im osobistego, wesołego życia.

Nie jest to wcale łatwe, ale tu dopiero jest pełny

człowiek — godność. Jesteśmy zadziwiająco skromni, lubimy łatwość, kurczymy się i w pracy, i w domu.

Gdzie są chwaty? Kiedyś w Łodzi można ich było zawołać na każda wyprawę. Może dlatego tak było, że byliśmy młodzi, zawsze trochę głodni. Nie wierze, by Wikingów na ich wspaniałe wyprawy pędził tylko głód. Musieli mieć i trochę wyobraźni.

Chociaż moje poczynanie wyszło głównie z tego, że z pisania nie ma chleba. Ale jakieś dziecinne marzenie ciągle pałęta się we mnie — za wodą, słońcem, nawet kwiatkami — i życiem prawdziwym własnym. Oczywiście nie w pojedynekę, lecz w gromadzie.

Dwukrotnie odpadały już moje chwaty.

Pierwszy skład to dobrzy, prości chłopcy. Może mieli za skąpa wyobraźnię i za mało dzielności, by oderwać się od starego, nudnego, ale łatwego życia. Odpędzała ich niewiara w poczynania wyłamujące się zupełnie z ich szarzyzny bytowania i brak odwagi. Drugi skład to fantaści, z którymi wszystko można by cudownie zbudować ze słów i nigdy nie doprowadzić nawet do wbicia kołka w ziemię. Znów powtarzałem formułkę o mojej ziemi. Natknąłem się na ludzi, którzy wynieśli z handlu trochę gotówki. Proponowali kury, kilka tysięcy,

tylko przez cztery lata, a potem każdy może sobie domek postawić pod Warszawą. Mówili tylko o kurach. Kilka lat słyszałbym od nich tylko o kurach. Moje „Uroczysko” byłoby zagdakane przez nich. A domku też nigdzie indziej nie chcę postawić, tylko tam.

Znów jest nas kilku — są jeszcze chłopi. Z nimi będzie można po hamsunowsku giąć w znoju grzbiety, a potem spoglądać w gwiazdy i mówić o wszystkim.

109

Z wiosną wędzemy się w „Uroczysko”.

Pierwszy rozpalony ogień i przyrządzona na nim strawa, miękkie legowisko w hangarze i pierwsze złowione ryby! Rozpoczniemy łowić najprymitywniej na haki, a potem coraz to lepszymi narzędziami. Nim dochrapiemy się niewodu, stwardnieją nam dłonie, wysuszy nas pot, kości odwykną od bólu. Będzie ziąb, może i głodno, a przy tym diabelny wstyd, przecież przy naszym brzegu jest najrybniejsze miejsce na Zalewie!

Wejdziemy tu w splot konieczności, od których nie będzie można odejść jedyne wyjście z nich, to przewyciężyć je i przed zimą odbudować dom. Życie będzie nas mocno uwierać, nabierze smaku piołunu i miodu. Takie powinno być.

Wszystko to będzie w najpiękniejszym miejscu. Pierwotność i romantyzm, witalność instynktów i marzenia.

Trochę się odmienimy. Będziemy szukać doskonałości w pracy i układać ją na lata, i uczyć się rządzić na sobie. Słowo będzie się zawsze pokrywać z jego znaczeniem i będziemy mieć zaufanie do siebie. Będziemy jednoznaczni, ale i z wyobraźnią, i dowcipem. Będą zachodzić w nas coraz większe zmiany. Najwyższe dobro materialne i duchowe będzie dobrem gromady. Za trud najwyższa zapłata — uznanie współtowarzyszy. Jakże świetnie będziemy mogli ułożyć sobie każdą wspólną pracę. Takie życie wyda z siebie nowe możliwości, których nie sposób przewidzieć teraz. Radość i ból każdego będzie radością i bólem wszystkich. Nikt nie będzie osamotniony. Przez naszą gromadkę najpełniej wrośniemy w całe społeczeństwo.

Ziemia przestanie być moja. Bo czy można mieć ziemię? Czy można mieć powietrze?

Najpełniejsze posia-

danie to radość. Czy może tylko odrobina zasłużonej dumy? To, co nie udało się różnym utopistom społecznym, zrealizujemy — my. Tylko gdzie są te chwaty? Szukam ich tak długo. Różni mędracy, z klubów, z prasy, z urzędów mówią mi, że takich dziś nie ma. Nie ma? Muszą być! Tak jak musi być powietrze, las, woda, morze. Muszą być, bo świat należy do orłów, do dzielnych, do chwatów, a nie do kameleonów, do ludzi z klubów, z urzędów.

111

JESZCZE RAZ...

Spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się — nareszcie ruszyli. Za pierwszym razem, przez godzinę, ledwo sunęli wśród kilometrowego węża samochodów do punktu granicznego, ażeby się dowiedzieć, że paszport zagraniczny Jana jest nieopłacony. A że w przygranicznym Biurze Informacji Turystycznej nie było znaczków skarbowych, więc wracali do Szczecina aż się kurzyło. Po ponownym przybyciu do punktu granicznego kolejka była krótka: kilka zaledwie autobusów wypełnionych pasażerami. Po kontroli autobusów został przed nimi Volvo ze szwedzkimi numerami rejestracyjnymi, w którym siedziało trzech kudłatych brodaczy.

Między pasażerami samochodu a celnikami wywiązał się jakiś spór, kazano im zjechać na bok i poproszono do biura.

– Maoiści — wymówił perfidnie Jan, jakby to było ugrupowanie humorystyczne. — Ciągną do Berlina na Zjazd Młodzieżowy.

– Z awanturką.

– Wyłapują ich.

Teraz poszło błyskawicznie, parę słów takich jak „proszę”, „dziękuję”, Niemcy nawet uśmiechają się, jakby to mieli w instruktażu. Jan zaraz skręcił w lewo przez jakieś wyboje, ale pokazał się asfalt tak jak u Niemców być powinno, więc ruszył z kopyta na pagór. Z jego szczytu lecieli ponad setką. Gdyby ich samochodzik nie miał kształtu opływowego, przyciska-

nego strugami powietrza do ziemi, wzbiły się w powietrze. Po obu stronach morze rzepaku. Z boku szosy kilka motocykli, nawet bagażówka, nie widać żywego ducha, pustka. Aż na horyzoncie z dziesięć kombajnów sunie z pagórka, uszeregowane w schodki jak okręty na morzu. O jakie dwieście metrów od drogi wielki namiot z podniesionymi ścianami dla przewiewu. Tu w cieniu jedzą posiłki i wypoczywają żniwiarze, nawet śpią, gdyż do wioski daleko. Wreszcie jest wioska zabrukowana kocimi łbami. Stare pretensjonalne miejskie domy, opuszczony kościół. Jadą wzdłuż Odry, jest tuż, tuż, a nie widać jej. Wysokie pagóry, gdy po stronie polskiej płasko. Z prawej strony, daleko w głębi, z dziesięć kominów, niektóre dymią. Wielka rafineria ropy naftowej. To Szwedt — ludzie na ulicach, przestrzenne uszeregowane kremowoniebieskie wysokościewce, okładane kafelkami ceramicznymi. Można je łatwo zmywać, a więc i tu Niemcom chodzi o czystość. W domu towarowym tłumy, często dobiega ich mowa krajanów. Tu kupili kilka butelek soków, butelkę wódki i wina. Za drogą odbijają w prawo do Angermeunde i stąd jakby strzelił na południe, po ledwo widocznej na mapie czerwonej nitce. Okazała się doskonałą asfaltową jezdnią z aleją

owocową. Jan ma jakieś wątpliwości, ale droga i wioski zupełnie puste, nie ma kogo pytać. Aż naraz w pustym polu — prowadząca się za ręce para zakochanych. Są zaskoczeni obcymi, spontanicznie serdeczni. Tu młodzi nie demonstrują swoich uczuć publicznie. Nic z cyrkowego widowiska, mają w sobie dostojną surowość.

Bad Freienwalde, a więc kurort, mimo pełni sezonu, na ulicach pusto. Kierują się na Seelow. Puste wsie

113

i miasteczka porządne, czyste, jakby przed chwilą mieszkańcy skończyli porządkowanie. Może oglądają telewizję, bawią dzieci. Po całodzienniej dobrej robocie przykładowie odpoczywają i nabierają siły na następny dzień, jak przystało na naród racjonalistów.

Znów olbrzymie przestrzenie, teraz pszeniczne. Jeśli jest już jakaś uprawa, to ciągnie się kilometrami. Nie ma tu prywatnych gospodarstw rolnych, nie ma naszych miedz. Rozwlekły, jak wioska kolonijna wzdłuż Odry, Frankfurt. Spore miasto. Jeżdżą puste tramwaje już z zapalonymi światłami. Jan łapie odpowiednią szosę.

Przejeżdżają przez most na kanale Odra-Szprewa. Dołem płyną oświetlone barki. Za

kanalem widzą jarzące się światłami miasteczko.
Wreszcie Chociebuż — północne rubieże
Serbów Łużyckich. Na ulicach pusto, puste
tramwaje, jest już późna godzina.

Jadą dalej, kluczą niemożliwie. Chwilami rosi
deszczyk. Oby nie było nocnej mgły. Jadą sami
czarnym tunelem szosy, lasy i lasy. Naprzód
oślepia ich, a potem mija na pełnym gazie
ogromna ciężarówka, aż uderza powietrze.

Nieprzyjemna chwila. Te światła, a i szybkość
mogłaby zmniejszyć. Bokiem mijają Sprenberg,
po serbsku Grodk. Obowiązują tu dwujęzyczne
nazwy. Z lewej jakby migwały wybliski dalekich
wyładowań atmosferycznych. Nasilają się, aż
skołtuniony ogrom ognia bije w chmurne niebo,
stąd odbłyski, jakby płonęło miasto. Znów
wybliski jak ze spustu surówki. Kopeć dymu
nad wszystkim. Człowiek posługuje się tak
potężnymi siłami, że naprawdę zagraża naturze.
Jest to pewno jedna z wielkich budów
socjalistycznych.

Lasy i lasy. Jan wjeżdża tyłem głęboko w dukt,
staje,

wyłącza motor. Wychodzą. Jan rozpakowuje swoje wiktuały i podsuwa mu duszoną wołowinę pachnącą przyprawami. Chlebek pytlowy, razowy — raj, nie jedzenie.

— Jedz — woła — żebyś nie był głodny. Za godzinę jesteśmy w Budziszynie.

Jest w tym serdeczne szyderstwo, że niedługo zostanie sam i może to ostatni jego posiłek. Zaraz proponuje rybkę ze świeżą cebulką i popędza.

— Nie układa ci się najlepiej. Czy przez całą drogę widziałeś choć jednego gapowicza?

— Nie — przyznał.

— Tu jest to źle widziane, w ogóle nie przyjęte. Będiesz szedł do Szczecina na własnych nogach! Jeszcze nie znając niemieckiego! Gdybym i ja nie znał, nie wyjechałibyśmy już z Chociebuża.

Przecież to szyderstwo, że zgubi się i zginie. Parska mu śmiechem w odpowiedzi.

— Przez to, że nie znam ich języka, wszystko może być ciekawsze.

— Tu wytępiono włóczęgostwo i wszelkiego rodzaju nieróbstwo. Widziałeś te wsie i miasteczka? Prawie wszyscy młodzi poszli do wielkiego przemysłu. Ciągłe brak im rąk do

pracy.

– Ostro wrastają w socjalizm, w tym procesie cały naród uległ reedukacji. Mają kraj uporządkowany, zagospodarowany, czysty. Wzór dla nas.

– My nie lubimy wzorów — odpowiada Jan.

– A jednak miliony Polaków teraz tu jeżdżą i wiele dobrego przywożą do swego kraju.

– Nie sądzę.

– A jednak szosa do Kołbaskowa zyskała wiele od

15

wiosny. Czy myślisz, że takim jak my nic nie mogą pomóc?

– Lubimy się okłamywać... Ale tak to już jest, że nie zawsze lubimy prawdę.

– Więc musimy ją ostro stawiać. Mocno rąbać w oczy. Patrz, jak oni...

Ich porządek i praca budzą zrozumiały podziw i nie tylko mój...

Zagryzają suchą kiełbasę z pomidorkami.

Tatarski wikt. Spoglądają na niebo, nie widać gwiazd między koronami drzew. Jan nalewa z kanistra do szklanek koktajl. Jan to chłopisko ponad metr osiemdziesiąt. Samochodzik ma trochę mały, więc przesunął sobie siedzenie do tyłu. Kiedy przychodzi lato, rzuca pisanie

budowlanych ekspertyz i rusza jak na „tatarskim kucu”. I tak zjeździł zagonami Europę wzdłuż i wszerz.

– Jasiu — próbuje go poruszyć — jeżdżąc po świecie widzisz piękne kobiety. Na pewno jest sposobność poznania. Czy nie czujesz, że mają one w naszym wieku podniecający smak?

– Po co, kiedy są w Szczecinie — odpowiada po chwili namysłu.

– To dlaczego jeździsz w świat?

– Żeby uciec od nich. Odpocząć... Odpowiada chichotem. A potem przygląda się Janowi spod oka.

– No dobrze, ale powiedz... Co cię naprawdę tak pędzi po świecie?

Jan kończy jedzenie, strzepuje okruszki i odpowiada jakoś sennie, niemrawo.

– A ciebie?

Śmieje się. Kreci głową, myśli.

– Co mnie pędzi... Ha, żebym wiedział... no, kiedyś wiedziałem, ale wtedy byłem młody, bardzo młody...

Kończą biesiadę leśną. Jan proponuje jeszcze herbatę lub kawę. Sam pije kawę i zapala cygaro. Będzie przedzierał się dalej nocą do granicy czeskiej, aż utknie gdzieś ze zmęczenia. Wtedy zjedzie na bok szosy i zdrzemnie się w samochodzie.

Jan nalewa z wielkiego termosu. Bierze od niego szklankę. Nad podziw gorąca, mocna aż bije w nozdrza aromatem. Właściwie to powinien napić się herbaty i zdrzemnąć, nabrać sił na dzień. Ale wie, że i tak by nie spał, podniecony drogą, więc próbuje przemyśleć niektóre sprawy. Jan tankuje benzynę, on zabiera się do czyszczenia szyb.

Ruszają, niedługo rozstaną się. Ciągłe lasy. Szosa bokiem obchodzi spore miasto. Uśpione wioski, coraz więcej pagórków. O trzeciej nad ranem wjeżdżają do Budziszyna, stolicy Serbów Łużyckich. Jest taka stolica i jest taki naród, chociaż niewiele wiemy o nim. Puste ulice, miasto wygląda na stare, nie zniszczone wojną. W centrum duży dom towarowy z wielkim napisem: Dom Mody.

To po serbsku, zupełnie jak po polsku. Jan dostrzega Dom Serba.

– Przyjdiesz tu sobie, w dzień.

Szuka języka, spostrzega dwóch milicjantów. Zatrzymuje się przed nimi. Pyta się i upewnia o przejazd graniczny. A potem pyta go:

– A gdzie cię wysadzić?

– Na dworcu — odpowiada nieporadnie.

117

– Spytaj się ich, gdzie jest ten dworzec. W końcu musisz sam zacząć mówić.

Musiało to nieźle wypaść, wszyscy zaśmiali się, a milicjanci wskazali mu rękami niedaleki budynek. Jechali chwilę wolno, milczeli. Potem ścisnęli sobie dłonie.

– Radź sobie jakoś — wydusił śmiesznie z siebie Jan.

Wysiadł, przystanął i chwilę patrzył, aż Jan zniknął mu z oczu. Był naprawdę sam.

Skierował się na dworzec kolejowy. Prawie od roku nie napisał ani linijki. Nie miał trudności z wymyśleniem problemu, fabuły, ale prowadzeniem ich w nastrojach, w aurze, według sytuacji. Nie mógł w sobie wywołać potrzebnych stanów. Czyżby zawodziła wrażliwość? Napisane linijki mogą być jak odlew ze szlachetnego kruszcu, nigdy nie tracą wewnętrznego żaru i dźwięku, z przewijającą się przez nie w błyskach prawdą lub chociażby

dążeniem do niej. Zaczął od zwykłego skupienia, koncentracji, ale nic z tego nie wyszło. Więc wszedł w swoje środowisko, by nabrać siły, popaść się. Widocznie nie umiał wziąć tego, co mu było potrzebne, a może nie było z czego wziąć?

Bodźcem są nie tylko zwycięstwa, ale i klęski. Właśnie winny być klęski! Zwycięstwo już jest, więc po co je powielać? Chociaż można. Z klęski wyprowadzić zwycięstwo — to robota dla pisarza! Po przegranej ze środowiskiem, a właściwie ze sobą samym, przeciął wszystkie kontakty, nawet przyjemne i wartościowe. Żył jak joga, spodziewając się najwyższej przemiany. Po jakimś czasie miał ostrej wrażliwości, intelektu, poczuł się jak usychające drzewo. Przywoływał siłę woli, ale Muzy nie chciały chodzić w cuglach. Może tylko

u niego, bo co dobre dla jednego, dla drugiego może być najgorsze. Jeszcze w dzień i nocę próbował różnych sposobów, aż pozostały tylko długie spacerowanie. Prawie wszystkie dawały zmęczenie i sen aż w nadmiarze. Jemu nie chodziło o przemierzanie kilometrów, lecz o przemierzanie wyobraźnią swojego świata w rytmie idącego ciała. Nie osiągnął tego, nie umiał oderwać się od starych, wyliniałych dróg i przejść. Wszystko to zaczęło być nudne.

Zatęsknił za dala, nie skażoną spojrzeniami jego oczu. Wypoczynek dla duszy, próba dzielności. Najprościej byłoby wyjść na szosę i iść aż do opamiętania się. Uczuł szybsze bicie serca. A więc nie jest jeszcze taki stary. Choć wciąż czuł, jak upływają lata! Jak się starzeje. Bał się teraz południowych spiekot, nocy na szosie, zimnych ulew.

Kiedyś lubił to wszystko. Świat się oczyszczał w gwałtownych burzach i młodniał. Wdychał pachnące powietrze i cieszył się. Brzask słońca budził go w przydrożnym rowie i każdy dzień był piękniejszy. Jaką rozkoszą był wypoczynek po zmęczeniu zbijającym z nóg. Napotykanie ludzie mieli w sobie szczerłość, nie musieli ukrywać, że są włóczęgami.

Mimo swoich lat, starości, jeszcze raz zapragnął przeżyć to wszystko, poczuć się młodym. Jak u Tyrolczyka Lehara, pragnącego jeszcze raz zaśpiewać pieśń miłości, tak on zapragnął znaleźć się na drodze jak włóczęga!

„Jeszcze raz...” coraz częściej dźwięczało melodyjną frazą pogłębiając marzenie i tęsknotę. I może wszystko skończyłoby się na tym, gdyby nie Jan grzmiący kpina.

119

– Rozpłaczesz się i zginiesz!

Dowodzenie słowami jest mało przekonujące i wręcz śmieszne — więc jak tu dowodzić, że się nie rozpłacze i nie zginie?

Jan „Powsinoga” na swoim „tatarskim kucu” udawał się zagonem do Jugosławii. Hojny jak „rycerz szos”, radził:

– Jedź ze mną, wysadzę cię przy granicy czeskiej. Ażeby było ciekawiej, pojedziemy przez NRD, tam nie potrzeba żadnych wymysłów paszportowych.

Nie umiał odmówić. Nie znał jednak języka niemieckiego.

– Powędrujesz sobie jak niemowa, to też trochę udziwni — Jan wspierał go kpina.

Zaraz skojarzyło mu się to z Serbami — Budziszynem. I tak się znalazł tu, w wielkim

holu dworca o ślicznej posadzce. W witrażach, w górnych, w bardzo wysokich oknach był rolnik, górnik, hutnik i inne symbole nowych idei, miast świętych starych religii. Przedziwna jest pustka i cisza na dworcu kolejowym. W skupieniu chodził wokół wielkiego holu i przyglądał się. Wtargnęło kilku podróżnych. Nie wyglądali na włóczęgów, podchmieleni, mocni bibosze. Teraz dopiero zobaczył dwie gabloty: jedna z książkami w języku serbskim, druga z rękodzielami ich sztuki ludowej. Napisy na stacji były w dwóch językach.

Wyszedł na zewnątrz dworca. Pozacierane kontury domów, mżawka przesłaniała miasto. Jan na pewno jest rozsądny — zjechał z szosy i śpi sobie w najlepsze. No cóż, trzeba iść...

Wypuścił się na poszukiwanie Serbów. Na pewno tego spali, ale przecież pozostał po nich ślad. Szczęśliwym trafem wprost wszedł na Dom Serba,

wielopiętrową kamienicę, starą, świetnie utrzymaną. Długo stał pod nią, zadzierał głowę, potem przechadzał się przy niej. Nie wiedział nic o Serbach, kojarzyli mu się z jakąś wielką tragedią. I tak długo nocą przechadzał się przed ich domem przepełniony jakąś serdecznością dla nich. Siąpiący deszcz zapędził go z powrotem na dworzec.

Tu coraz bardziej zaludniało się. W małej salce przed zamkniętym jeszcze bufetem pełno rozespanych. Porozpinany żołnierz, z czapką na oknie. Nawet kilku kudłatych, wyglądających na Skandynawów, z głowami wspartymi na stołach, drzemało i chrapało. Przysiadł się koło żołnierza, próbował zasnąć, ale nie bardzo potrafił. Wstał więc i znów zaczął krążyć po wielkim holu jak poprzednio. Przy wejściu na perony, na szerokiej ławie z oparciem, kilku leżących jak na łożu. Siedziały też dwie starsze kobiety, ciasno przy nich adoratorzy w umizgach. Jeden z nich po pijacku pchał rękę za bluzkę. Przyjmowała to biernie pośmiechując się trochę z jego niezręczności. Druga para zabawiała się równie prowokacyjnie.

Przechodzący podróżni aż przystawali ze zdziwienia, odrzucało ich natychmiast i z niesmakiem na twarzach szli dalej. Adorowane kobiety nie widziały tego. Były już nie pierwszej

młodości, dlatego zapewne ceniły najmniejszy nawet okrucuch pieśczoży. Nadeszło dwóch milicjantów, rozejrzeli się, zbudzili i wylegitymowali leżących na ławie. Adoratorzy powstrzymali swoje ręce. Kobiety żywo zaśmiały się, chętnie słuchały pijackiego bełkotu. Kiedy przechodził blisko nich, usłyszał, jak jedna mówiła:

– Ale oni są niemrawi...

Druga zaśmiała się przytakująco.

121

Jeden z adoratorów próbował to powtórzyć i prawie udało mu się. Zaskakujący komizm samooskarżania się. Kobiety aż pisnęły w chichocie. Ledwo powstrzymał się rad śmiechu. Śmiech zwarzył mu się, poczuł się głupio. Nie miał pogardy dla kobiet jak przechodzący i Niemcy. Musiały być bardzo osamotnione i nie mogły zdobyć się na odrobinę wymaganej tu surowości. Usiadł na ławie w wolnej luce. Siedząca w pobliżu niego dziewczyna oddychała głęboko, bujna pierś podnosiła się niepokojąco stromo, wtedy spoglądała na niego poważnie, pytająco. Na bardzo młodego chłopaka, siedzącego z nią, niewiele zwracała uwagi. Może brat, kolega?

Podobały mu się te wdechowe zaloty i nie skąpił sobie widoku. Dziewczyna widząc to była pełna inwencji. Najsamprzód podnosiła lewą rękę, tę od jego strony, ot, tak sobie jakby od niechcienia, potem drugą i najspokojniej trefiła sobie rdzawe włosy. Czasami kierowała swe spojrzenie na niego. Jej wdzięk stawał się niepokojąco groźny. Pewna siebie!

O jej piersi rozbiłaby się każda męska siła. Trudno było mu znieść ten widok. Mając nauczkę od swoich krajanek, cicho siedział, by na siebie nie zwracać uwagi. Aż dziewczyna z chłopakiem powstała, zaśmiała się swobodnie i znikła. Poczuł się nieco lepiej, co stwierdził z żalem.

Może to była Łużyczanka. Byłoby romantycznie, gdyby sobie przygruchał taką hożą Serbkę. Ale jak? Po prostu trzeba było jej się spytać, czy jest nią! Zawsze był gamoniowaty.

Za oknami jaśniał brzask dnia. Znów wyszedł na zwiady. Puste ulice w niebieskawym odcieniu uchodzącej nocy. Serbowie nadal tego spali, ich Dom stał w ci-

szy. Prawie przy krańcach miasta, na dzikim skwerku spostrzegł skromny, spiżowy pomnik. Łagodna twarz o wyrazistych rysach. Na pewno nie był to wojownik. Powrócił okreśną drogą. Natknął się na szeroką szkołę nauczycielską, potem w starym domku odnalazł redakcję gazety „Nowa Doba”, co brzmiało zupełnie jak po polsku. Znow przyszedł pod Dom Serba. Tuż przy wejściu na wysokim parterze wychylony leciwiec w otwartym oknie patrzył na wstający dzień. Podeszedł pod okno, podniósł rękę i powiedział:

– Dzień dobry.

– Dzień dobry.

– Ty jesteś Serbem — oznajmiał raczej niż pytał.

– Ja, Serbem.

– Jesteś pierwszym Serbem, którego widzę.

Właściwie drugim. Kiedyś widziałem waszego pisarza.

– Jak on się nazywa?

– Niestety — zapomniałem. Był młody, wysoki, przystojny.

– To na pewno Jurij Brezan, nasz największy spisowacz — grzmiał Serb w oknie. — A ty kto jesteś?

– Ja jestem Polak.

– Ho, ho, Polak — przyjechałeś tu?

– Tak, ze Szczecina. Pragnę was zobaczyć,

posłuchać, napić się z wami wódki. Cieszę się, że żyjecie jeszcze.

– O, my żyjemy!

Nie było to tak wszystko zupełnie po polsku, ale z domysłem. Nie chcąc męczyć leciwca, zbierał się do odejścia.

– Pójdę już.

23

– Przyjdź potem — wołał Serb. Dom otwarty o wpół do dziewiątej, a kawiarnia o dziewiątej — tu z rogu wejście.

Podziękował mu i skierował się na dworzec, jak do własnego domu.

Coraz częściej przyjeżdżały pociągi. Nasilał się dzień. Dzieci szkolne porządnie uszeregowane jechały na kolonie letnie. Coraz więcej podróżnych, przychodzili i znikali gromadami. Mimo że słyszał tylko język niemiecki, na pewno byli też i Serbowie. Nie umiał odróżnić ich od Niemców, niczym się nie wyróżniali.

Usiadł na wygodnej ławie, chciał się zdrzemnąć, ale nie udawało mu się. Jakby zapadał w sen na sekundy i zaraz budził się. Z trudem dotrwał do czasu otwarcia kawiarni, dłużyło mu się.

Odczekał jeszcze z pół godziny i opuścił dworzec.

Ścianę z oknami miał za plecami, by światło nie

raziło go w oczy. Sączył kawę i nie czuł żadnego zmęczenia. Widocznie i przerywana drzemka daje odpoczynek, wzmacnia. W dużej sali wszystko było w kolorach poważnych. Wielki bufet świadczył o bogactwie zaopatrzenia. Na ścianach ledwo widoczne małe obrazki. Kelnerki — starsze panie, dopełniały powagi.

Była to solidna kawiarnia niemieckich mieszczan. Na mniejszej ścianie umieszczona była lalka w serbskim stroju ludowym.

Kolorowy druk tkaniny w ramach za szkłem. A jednak była to kawiarnia serbska. Przypomnił sobie kawiarnie regionalne w Marstrandzie, w Szwecji. Śliczny wystrój ścian, na nich dużo wielkich obrazów przedstawiających urok regionu, takie mebelki. Młodziutkie kelnerki, dobrane sztuka w sztukę, w strojach ludowych jak regionalne lale. Były i kulinarne ła-

kocie i regionalne napoje. Kuracjuszy i letników ciągnęło do „własnej kawiarni”, a potem z ciekawości, dla porównania, oglądali inne kawiarnie.

Rozglądał się szeroko, przy stolikach było coraz rojniej, głośniej. Zewsząd dochodził go język niemiecki. Nie był pewny, czy to byli Serbowie. Chciał z nimi porozmawiać, może który z nich umie po angielsku, a jeśli nie, to chociaż tak jak z tym starym Serbem w nocy. Mimo serdeczności dla nich czuł się obco. Wstał, zarzucił chlebak na ramię i wyszedł.

Kierownik Muzeum Książki i Piśmiennictwa Serbskiego przywitał go serdecznie, dostojnie. Potem wprowadził go do swojego sanktuarium. Wskazywał stare rękopisy. Starodruki troskliwie brał w dłonie jak relikwie. Był już leciwy, mógł mieć siedemdziesiąt lat i więcej, zachował jednak żywość, surowością bronił się przed wzruszeniem. Był stróżem i arcykapłanem dobroku myśli utrwalonej we wszelkiego rodzaju zapisach, największej świętości Serbów, narodu bardzo nielicznego, o którego istnieniu wie już niewielu.

Wsłuchiwał się w bratni język i rozumiał coraz więcej słów. Usłyszał, że przed wojną hitlerowcy spalili im Dom.

– To sukinsyny — wyrzucił z siebie.

Serb jakby zrozumiał. Spojrzał na niego i prowadził dalej po swoim skarbcu. Przed pożegnaniem dowiedział się, że nie odbywa się tu międzynarodowy zjazd etnografów, jak mu Jan mówił, lecz zjazd badaczy języka Serbów Łużyckich. O, w tej szkole nauczycielskiej, niedaleko, ale na pewno się skończył.

Popędził do szkoły. Dowiedział się, że zjazd właściwie zakończył się wczoraj, ale uczestnicy jeszcze nie

125

rozjechali się. Za chwilę miał się jeszcze odbyć ostatni wykład poza programem profesora Sewca — znakomitości Uniwersytetu Lipskiego, dyrektora Instytutu Filologii Serbskiej w Budziszynie. Przebywający tu Polacy wzięli go ze sobą.

Profesor mówił o powiązaniu serbskiego z innymi językami słowiańskimi. Wykład jego nie miał nic ze sztampy tępej, profesorskiej piły. Często udawał, że zastanawia się nad domysłem, wtedy wtrącał się jakiś słuchacz i tak wciągał do aktywnego udziału całe audytorium. Doskonale znał polski i inne języki słowiańskie. Był lotny, głos jego dźwięczał namiętnie, musiał kochać swój serbski język.

Po wykładzie obiegiło go ze trzydziestu

uczestników zjazdu i najswobodniej rozmawiali po serbsku. Młodzi i powagi naukowe Europy, Ameryki i Azji. Był nawet Japończyk. Kiedy ochłonęli i odstąpili go, podszedł, przeprosił: – Jestem pisarzem — czarował — przyjechałem ze Szczecina, chciałbym tu pobyc z tydzień, z wami Serbami. Czy mógłbym spać w waszych kwaterach szkolnych? Może mi pan profesor pomóc?

Profesor był zaskoczony, jakby spotkało go coś bardzo nieprzyjemnego. W końcu odezwał się:

– Nie mam z tym nic wspólnego.

Przeprosił profesora i odszedł. Uczestnicy zjazdu wyjeżdżali, było dużo miejsca. Mógł mu to załatwić jednym słowem. Zbył go jednak jednym zdaniem.

Dowiedział się, że po południu w Serbskim Ensamblu ma się odbyć generalna próba przed wyjazdem za granicę Serbskiego Zespołu Pieśni i Tańca. Ciężko tam było trafić. Ludzie błędnie wskazywali mu drogę. Ich

wskazania były sprzeczne. Aż w końcu Niemiec, młody chłopak, doprowadził go do tego miejsca. Za małym skwerem wznosiła się spora sala z przybudówkami. Zajęty dyrektor zezwolił mu obejrzeć wszystko, jednym słowem — „tak”. No, to przynajmniej rozsądnie. Na korytarzach tumult, liczny zespół przewalał się tłumem w różne strony. Naprzód po gospodarsku karmiono artystów w dużej stołówce, wrzawa i pośpiech. Usiadł na zewnątrz na ławce tuż przy sali. Słońce dogrzewało spiekliwie jak na burze. Z wielkiej, krytej przyczepy pobierano stroje, przeważnie młodzież, trochę starszych. Nerwowo przebiegali skwer wystrojeni artyści, aż zrobiło się cicho i pusto. Zaczęli ściągać uczestnicy zjazdu. Skierował się za nimi do sali. Weszła orkiestra na podium. Był to wcale niemały zespół symfoniczny. Wyszli tancerze i chór statecznych Serbów, jakby mający pieczę nad szaleństwami młodych. Ponad sto pięćdziesiąt ludzi, barwny, żywy serbski łań. Nastąpiła cisza. Jasnowłosa dziewczeczka z miłym uśmiechem zapowiadała występy. Mówiła po niemiecku, potem po serbsku. Odezwała się muzyka. Śpiew Serbów bił w niebo wyzwaniem. Zawirował barwny łań ledwie mieszczący się na parkiecie. Serbowie wypowiadali w nim swoje zaloty, dążenia, swoją pracę, radości, smutki,

jakby chcieli wytańczyć i wyśpiewać swoje życie.

Wzburzony chłonał wszystko. Serbowie objawili mu się w cudowny sposób jako naród. Nic nie wiedział o nich i to wydało mu się tragiczne.

Sąsiedzi, lecz zupełnie nieznani. Jakże strasznie musieli kochać swoją serbskość, że przetrwali.

Byli tragiczni.

Spazm dławił mu krtań. Polacy rodzili się, by ginąć

127

za wolność. Serbowie, by przetrwać. Byli tak nieliczni. Przetrwanie w każdych warunkach było ich mądrością i walką. Poddani tylko na zewnątrz, serca ich zawsze biły po serbsku.

Przed oczami wił się i toczył barwny serbski łań. Potem wyszedł chór i wszyscy razem odtańczyli i odśpiewali zakończenie. Gorące brawa, bisowe odśpiewanie.

Już na powietrzu odetchnął głęboko. Czuł zachwyty i radość, że ten mały dzielny naród żyje, że jest jakaś sprawiedliwość dziejowa, że nie wszystko jest tak złe na świecie.

Wyszedł na pobliski most przerzucony przez ogromną wyrwę. Dołem płynęła ledwo widoczna rzeczka, Szprewa, w swoich początkach. Tuż przy niej wznosił się zamek

dobudowany na pionowej skale jak jej przedłużenie. Tyle zamków! Musiało tu kiedyś być niespokojnie. W stronę południa ziemia spiętrzała się w rozległe pagóry. Widać czeskie Sudety.

W przydworcowym hotelu nie było wolnego pokoju, nie było i w drugim, oddalonym trochę, mimo że najtańsze pokoje kosztują tu po dwadzieścia pięć marek za dobę.

Przez chwilę czuł się zaskoczony. Bądź co bądź, w obcym kraju, w obcym mieście, bez dachu nad głową.

I nagle roześmiał się. A więc stało się. Poczuł się lekko, wszystko stało się jasne, zwiastowało radość. Tak, już był zdecydowany, już wiedział. Pomyślał tylko, że to już druga noc bez snu, bo mieli ruszyć o piątej rano, ale Jan kończył swoje ekspertyzy budowlane i ruszyli dopiero pod wieczór, jak teraz.

No wiec ma, stało się. Wraca do domu, do kraju. Nie,

nie do kraju, lecz do swojej młodości. Noc na szosie, w

obcym kraju, bez znajomości języka, tak, to było kiedyś, ile to lat temu?...

Odczuł przypływ cichej radości. Jeśli powali go zmęczenie, to przycupnie w byłe bezpiecznym miejscu, prześpi się, odpocznie i znów będzie parł na północ. Przystanął na skraju chodnika, rozłożył mapę. Najprościej byłoby na Grodk, ale ciekawiej będzie inną drogą niż tu przyjechał, a wiec na Beła Woda (Weiss Wasser). Zatrzymuje przechodnia, przeprasza go, najprościej składa niemieckie zdania. O dziwo, przechodzień rozumie go. Krótko orientuje go w kierunku, dopełnia wskazaniem ręki. Za podziękowanie śmieje się ciepło. Językiem ulicy jest niemiecki. Zdaje mu się, że Serbowie posługują się niemieckim na co dzień, a serbskim od święta. Jest drogowskaz na Białą Wodę. Stoi kilka autobusów, peryferie miasta.

Dużo sobie obiecywał z tutejszego pobytu, jakoś wyszło niewiele. Jest tu pierwszy raz, ale nie ostatni. Nie to jest teraz ważne, nie to...

Jezdnia bardzo szeroka jak wylot autostrady,

mimo że nią nie jest. Jadą zatłoczone autobusy. Pędzą samochody. Nie łapie ich jeszcze. W obrębie miasta byłoby to nieprzyzwoitością. Tu można posługiwać się autobusami, taksówkami — zależnie od kiesy. Zatrzymany samochód może kończyć jazdę przy następnym domu. Byłoby to zawracanie głowy kierowcy. Mija osiedle trzypiętrowych, ostatnich domów miasta. Szosa wbiega na wysoko położoną równinę. W dali nie widać żadnych wsi ani osad. Skończyły się chodniki, z boku przy rowie wąska ścieżka.

129

Idzie lekko, radośnie. Chce mu się śmiać ze swojego spaceru. Jan przewidywał, że zajmie mu to z miesiąc czasu do Szczecina. Żartowniś! Jedzie tu sporo samochodów, niektóre puste, te zabierają najczęściej. Każdy taki mijający go pojazd wydaje się straconą okazją. Trochę boi się zaczynać. Jeszcze trochę odejdzie od miasta. Idąc spogląda do tyłu na nadjeżdżające samochody. Jest samotny kierowca. Przystaje, podnosi rękę. Samochód zwalnia, zjeżdża na bok, zatrzymuje się. Podbiega i pyta ponad zsuniętą szybą: . — Can you give me a lift? Otwierają się drzwi. Siada wygodnie. Przemykają pszeniczne pola. Trudne do wiary,

na pierwsze podniesienie ręki, w kraju gdzie nie ma tego zwyczaju, gdzie panuje wstręt do włościęstwa. Przypomina mu się czarnowidztwo Jana i wszystko w nim się śmieje. Nie jest przesądny, ale bierze to za dobry znak. Kierowca spogląda na niego, trochę zdziwiony.

– You England? — odzywa się pytająco.

– No, me Poland — odpowiada.

Rozmowny kierowca przypomina sobie język, którego się kiedyś uczył. Strasznie zadowolony, że nie zapomniał. Obaj kaleczą go niemiłosiernie. Nie trwa to jednak długo, po kilku kilometrach wysadza go i zjeżdża w boczną drogę.

Zatrzymuje się z boku szosy na płaskiej wysoczyźnie. Spogląda na południe. Nie widać Budziszyna, zapadł się w dolinę osłoniętą pasmami drzew. Dalej na horyzoncie masyw Sudetów.

Idzie chwilę, potem stara się zatrzymać samochód, ale nie reagują na podniesienie ręki. No nic, trzeba iść piechotą. Ma na sobie farmery, kolorową koszulę fla-

nelową i miękkie pantofle. Sweter przerzucony przez klapę chlebaczka, w nim kilka drobiazgów, a także krótkie spodenki, ale nie jest aż tak ciepło, by je mógł założyć. Ma tylko rzeczy absolutnie konieczne.

A więc idzie mu się lekko jak na spacerze. Po obu stronach, za pszenicznymi polami, czernieją lasy. Szosa skacze po pagórkach. Na stromych zjazdach samochody prawie lecą z rozpędu na szczyt następnego pagóra. Nie można ich tu zatrzymać. Śmiało, pracowicie bierze podejścia. Z lewej strony niebieszczą się jeziora w urobowiskach. Żwiru, okolone potężnymi dębami, bukami i innym starodrzewem liściastym. Strome, przepastne obrywy. Na szczytach pagórków próbuje zatrzymać samochód — bez skutku.

Automobiliści rwą jakby dopiero tu się rozgrzali. Pracowicie przechodzi pagóry. Próbuje możliwości na równym, bez żadnego skutku, aż odczuwa zawstydzenie. Nie podnosi ręki, idzie trochę zawstydzony, trochę rozgniewany, czeka, aż samochód zatrzyma się i sam kierowca poprosi go. Co oczywiście nie następuje. Mijające samochody aż furkoczą od szybkości. Kierowcy mocno duszą gaz, chcą przelecieć

szybko zagrożoną strefę, możliwości natręctwa. Upokarza to i zawstydza. Przez podwiezienie kierowca nic nie traci, a więc jest to sprawa dobrej woli, życzliwości, chęci niesienia pomocy. Niemcy na pewno mają te cnoty, ale nie dla włóczęgów. Kiedyś jednak włóczęga, poprzez współżycie, otarcie się w różnych sytuacjach z ludźmi, edukowała nie tylko rzemieślników, ale i studentów.

Niemcy, naród karny, zdyscyplinowany, mówiąc łagodniej — o dużym poczuciu obowiązku — na pewno ujęli w organizacyjny rygor i tak trudną przypadłość

131

ludzką jak włóczęga. W ten sposób zmniejszono jej atrakcyjność. A więc przyznaje im rację i nie gniewa się na kierowców. A gdyby mieli pewność, że im zapłaci — jako racjoniści doceniający wartość pieniądza na pewno by go chętnie brali. Nic łatwiejszego jak stojąc powiewać w podniesionej ręce dziesięcio- lub dwudziestomarkówką. Im bogatszy kolor, tym większe możliwości. Ale to byłoby wulgarne. Zastanawia go nagle, skąd mają wiedzieć, że jest obcy. Nie, to przecież jasne! Nikt tu nie nosi kolorowych koszul, a cały jego wygląd świadczy, że jest włóczęgą. Amerykanie,

Rosjanie skorzy są do gadulstwa w poszukiwaniu wartości, nawet Anglików ważkim problemem można dobrze pociągnąć za język. Ale Niemcy nie są gadułami, kochają robotę i to ich najpełniej określa.

Ciągle mijają go samochody, pędzą dalej i nikt nie kwapi się z zaproszeniem. Czuje, że jeśli nie przełamie w sobie wstydu i nie podniesie ręki, to jego dzienna norma marszu na północ będzie zgodna z przewidywaniem Jana. Przejeżdża wiele ciężarówek, wcale nie wolniejszych od osobowych. Delikatnie podnosi rękę, by było mniej wstydu. Uderza pęd powietrza przelatującej ogromnej wywrotki ze żwirem. Jakby przycichł motor, pędzi jednak dalej, staje ponad pięćdziesiąt metrów przed nim zaniesiona bezwładem. Kierowca wyszedł i czeka na niego. Dobiega trochę zadyszany, więcej z emocji niż wysiłku.

– Nach Weiss Wasser — woła.

– Nach Weiss Wasser? — słyszy wyraźnie.

– Nehmen mir?

– Ja--a-a — wielkoduszny pomruk.

Otwiera mu drzwi i zamyka za nim. Sadowi się za

kierownicą i z miejsca stara się wejść w pęd jak poprzednio. Ciężarówka ryczy, gra, rwie. Siedzenie bardzo wysokie, jakby zawieszony w powietrzu. Po obu stronach wszystko miga. Z lewej w diabelskim pędzie przelatują maleńkie żuczki samochodów osobowych. Szosa trochę wąska, kiedy mijają się ciężarówki, przelatują samym brzeżkiem rowu. Powietrze ścina się z przyjęciem. Potem kierowca przygląda mu się śmiejącymi oczami. Bardzo młody, ma pewno z dwadzieścia lat — przydługawe włosy i bujne bokobrody. Lubi jeździć szybko. Z przyśpieszeniem ścina zakręty. Zagadnięty po angielsku przecząco kręci głową, że nic z tego nie wyjdzie i znów uśmiecha się pogodnie, serdecznie. Jadą lasami, trafiają się małe wioski z wyspami ziem uprawnych. Mijają Białą Wodę, za nią dymi wielka fabryka, obok wyrastają mury nowej. Stawianie fabryk to też namiętność Niemców. Ciężarówka staje, kierowca wskazuje lewą ręką, że zjeżdża z głównej szosy.

– Danke schoen — stara się wymówić jak najlepiej.

– Bitte — odpowiada wesoło chłopak i rusza na budowę.

Kieruje się na Moskau, odległe o jakie dziesięć kilometrów. Próbuje szczęścia, ale szczęście

przepędza obok niego na przyduszonych gazach. Jakiś ciąg ogrodów i parków, z rzadka domy. Szosa przemienia się w aleje z żywopłotem z miejscami spacerowymi. W końcu udaje mu się złapać samochód. Na jego niemieckie dukanie kierowca śmieje się i mówi:

– Proszę, prosz...

Sadowi się zdziwiony. Ruszają. Oglądają się wzajemnie.

– Pan Polak? — pyta.

133

– Nein, — zaprzecza i dodaje — dużo Polak turist!

– Macie jednak „Moskau” — udaje zdziwienie.

– To tylko takie małe „Moskau” — śmieje się.

I na tym rozmowa prawie się skończyła. Kilka wypowiedzianych przez Niemca polskich słów uderza serdecznie. Wytwarza się bliskość, przyjemna więź.

Moskau jest kurortem, po głównej ulicy eleganccy ludzie, nie wiedząc, co począć z czasem, jak w każdym kurorcie, snują się jak muchy jesienią. Przyjazny Niemiec wiezie go aż na odpowiednią szosę. Podaje mu rękę i wymawia:

– Do widzenia.

– Auf Wiedersehen — woła demonstracyjnie.

Na rozstanie ściskają sobie dłonie. Ogrzany serdecznością nie idzie, lecz leci jak na skrzydłach. A gdyby tak pospacerować z kuracjuszami i popatrzeć na nich. Zapada wieczór, już szarówka. Nie wie, jak będzie nocą na szosie. Rezygnuje z przyjemności. W pośpiechu, ale bezskutecznie, łapie samochody. Pierwsza przejeżdżająca ciężarówka zatrzymuje się. Kierowca, młody chłopak, nawet podobny do tego z wywrotki. Nie próbują rozmawiać, jadą w przyjaznej ciszy. Za Derbnem odchodzi w prawo trochę wąska, ale asfaltowa droga, przyzwoita jak wszystkie w NRD. Tędy właśnie ściąć chciał na Barść nad Nysą Łużycką i w ogóle trzymać się rzeki. Rezygnuje z tego w jednej chwili. Na bocznej drodze mniejszy ruch i wieczór już zaciąga szarówką. Kierowca jedzie do Chociebuża. Jest to trochę w lewo, a jednak porządny kawał drogi ku północy. Jak każdy młody chłopak lubi szybkość. Powietrze bije głucho w nieprawdopodobnie wysoką budę ciężarówki, chwieje nią i zatacza. Na zakrętach sunie na dwóch kołach. Kie-

rowca wyprowadza zręcznie z równowagi krytycznej, bawi się w akrobatę. Buda chwieje się, pochyla czasami tak groźnie, że winna runąć, a jednak nie, pędzi dalej. Zabawa trwa. Po takim przechyle, woła do pogodnego kierowcy:

– Się sind grosses Wagenakrobat. Chłopak śmieje się, podoba mu się to, więc chwali go nadal.

– Się koennen fahren in cirkus...

– Nein, nein — skromnie zaprzecza chłopak. Zaciąga noc, na pewno utrudnia to akrobacje. Chłopak pędzi coraz szybciej, wyraźnie śpieszy mu się. Czarne niebo otwiera się w błyskach ogniem bez grzmotów. Ma się jakby na burzę. Przechodzi jednak.

Czuje się zmęczony, oczy przymykają się, kleją. Noc spędzi na stacji kolejowej. Zdrzemnie się, odpocznie i rano znów dalej na Gubin. Wybłysk zagęszczonych świateł.

– Cottbus — wymawia kierowca.

Jeżdżą tramwaje. Poznaje ulice, przez które poprzedniej nocy jechał z Janem. Na pytanie kierowcy, gdzie chce wysiąść, odpowiada, że gdy będzie skręcał do centrum miasta.

Ciężarówka zatrzymuje się. Podziękowania. Chłopak woła:

– Schlafen, schlafen — w głowie radość.

Musiała go jednak zmęczyć ta akrobatyczna

jazda.

Mało przechodniów, puste tramwaje, wyraźnie późno. Dzielnice jednopiętrowych domów — przestrzenie, ogrodowo zabudowane, ciągną się kilometrami. Pyta się o stację kolejową, nie rozumie odpowiedzi. Pyta jeszcze raz.

Przechodzień zagarnia go ze sobą. Przyjazny, gadatliwy, idzie tam również. Nie umie po

135

angielsku, ale rozmawia z nim na siłę. Ciągłe uchyla kapelusza, zatrzymuje się, by zamienić parę słów. Czasami chce go zostawić, oderwać się od niego. Opiekuńczy przechodzień dopędza go i znów prowadzą „angielski” dyskurs. Trwa to godzinę, strasznie rozwlekłe miasto. Aż weszli na wiadukt. Tu wskazał mu ręką stację i odszedł nasycony podziękowaniami.

W dole na wielkiej przestrzeni cienie szyn. Lśnią w światłach, giną w czerni nocy. Pozornie tworzą bezkształtną plataninę, ale jest w niej największy ład i celowość.

Po schodach schodzi w dół. Uszedł spory kawał, ale dworca ani śladu. Wyłania się kilka długich baraków i to jest właśnie dworzec. Wszędzie mrowią się ludzie, śpieszą, tłoczą, ale najbardziej w baraku barowym. Siedzą i stoją w zupełnym ścisku jak w kłębie pszczelim, Gdyby

spędzono ich pod przymusem, byłoby to torturą trudną do zniesienia. Przy wejściu gromada, spoglądają z odrobiną zawiści na usadowionych. Odchodzą z żalem — czyżby za ścisaniem? Ludzie mają coś z fok w skłonności do spędu. Przeważnie młodzi, zmęczone uśmiechy, ale zadowolone, oglądają się, skromne zachwyty. Tu seks jest nieśmiały. Ale dziewczyny jak dziewczyny — mają filuterne oczy i wiele sposobów, by zwrócić na siebie uwagę. Wypucowane na błysk, w śnieżnych płaszczkach i białych kolanówkach, ujmują świeżością swych ciał. Są naturalne. Mimo ścisania, przy bufecie porządna kolejka, w sznureczek, po piwo i kiełbaski. Zjadłby i on, straszy kolejka, czuje się zmęczony.

Już na peronie napił się wody. Pocisnął guziczek, ze środka marmurowej misy trysnęła maleńka fontanna.

Dobra woda — lepsza od wszystkich lemoniad. Pije dużo, na zapas. Zwolnił guziczek i fontanna schowała się.

Z pociągu spływają pasażerowie, w zamszowych wiatrówkach z walizkami skórzanymi.

Dziewczyny w sweterkach, spodniach-rurkach wyglądają jak we własnej skórze. Nie ma tu spodni-kiecek, butów-szczudeł, ani butów-kłoców. Co mogło uchronić Niemki przed tymi brzydactwami? Może surowość życia wpływająca z licznych obowiązków? Od tutejszych turystów, bogato przystrojonych, tym razem on odcina się surowością, tylko kolorowo-pstra koszula jest jak panterka włóczęgi, wyzywająca jak cygańska flaga. Przestał wreszcie zwracać uwagę na dworcowy tłum.

Przyszedł tu odpocząć i zdrzemnąć się na siedząco. W poszukiwaniu miejsca obszedł baraki. Wszędzie znajduje ścisk, pośpiech, hałas. Jest tu gdzieś jeszcze druga stacja, ale tam może być tak samo. Jeśli ma być bezsenna, bez wypoczynku noc, to nie ma sensu spędzić jej tu na stacji, lecz powinien powrócić na szosę.

Spostrzega dwóch milicjantów, podchodzi do nich.

Milicjanci sprężają się szarmancko, salutują. Pyta ich o drogę do Gubina. Po kilku powtórzeniach domyślają się. Jeden z nich

wyciąga mapę, rozkłada. Orientuje według stron świata, odnajduje Gubin i drogę tam prowadzącą, N-97. Wymienia ulice, którymi dojdzie, na końcu wskazuje ręką kierunek. To ostatnie było zrozumiałe, a więc najważniejsze. Musi tam podejść bliżej i spytać się. Jeden z nich stwierdza, że ma samochód. Zaprzecza i mówi, że jedzie autostopem do Szczecina. Są zdziwieni. Teraz, nocą? Za podziękowanie znów sprężają się, salutują.

137

– Gute Reise! — wołają.

Dziękuję, odchodzi. Na wiadukcie spostrzega samotną parę. Pyta ich o drogę do Gubina. Nie rozumieją go, wyglądają jakby chcieli uciec. Odchodzi, aby ich nie straszyć. Podążył w kierunku wskazanym przez milicjanta. Pytani ludzie, ostatni przechodnie nie rozumieją, o co mu chodzi. Wymowa jego musi być okropna. Mówią mu coś szybko i odchodzą. Zdaje mu się, że mówią błędnie, ale idzie we wskazanym kierunku, aż ktoś wskazuje mu drogę na plac autobusowy. Instynktownie podchwytuje i idzie tam, upewnia się, czy dobrze, znów pyta. Z piwiarni wychodzi gromada młodzieży, chłopcy, dziewczyny, podchmieleni, niektórzy mocno. Obstępują go z ciekawością. Kilku

trzeźwieszych objaśnia go. Pytają, kim jest. Podchwytyją „Pole”, zdziwienie przechodzi w życzliwy śmiech. Zebrało im się na rozmowę, która jest niemożliwa. Próbuje bez skutku angielskiego. Z niemałym trudem uwalnia się od nich.

– Gute Reise! — dochodzą wołania.

Idzie wytrwale, aż dochodzi do małego trójkątnego placu z trzema autobusami. W jednym już kilkoro ludzi. Spóźnionych niewiele, pustawo. Spostrzega kierowców w mundurowych kurtkach. Zwraca się do nich, nic nie rozumieją, słuchają go wesoło, ze śmiechem. Daremnie próbuje angielskiego. Zaciekawienie słuchających wzrasta, wesoła zabawa wciąga ich. „Pole” powtarzają ze zdumieniem, wybuchają śmiechem i to wcale nie wrogim. Zrozumieli także, że jedzie autostopem do Szczecina, że szuka drogi N-97 do Gubina.

– Teraz schlafen! — wykrzykują.

Zaprzecza zdecydowanie. Ich wskazanie drogi jest

zawiłe. Jeden z nich, jasnowłosy blondas, trzepnął go w plecy otwartą dłonią.

– Komme! — woła wesoło.

Kierując się za nim wdrapał się wysoko na wygodny fotel. Za nim jeszcze jeden kierowca. Szoferzy rozmawiają, pewno o kierunku.

Blondas zapuścił motor, ciasno wykręcił i z miejsca bierze cwał. Pustymi ulicami ogromny autobus pędzi jak mały samochodzik. Blondas rzuca na niego okiem i uśmiecha się. Spostrzega, że ciągle kierują się w lewo. Milicjanci ze stacji kolejowej na pewno źle wskazali kierunek, przynajmniej o dziewięćdziesiąt stopni. Robi mu się wesoło, wiozą go jak prywatnym wozikiem. Mają chłopaki gest, fantazję. Blondas zwolnił, ostro skręca, naprowadził światła na drogowskaz do Gubina. Chce wysiąść. Zatrzymują go. Znów cwał ze dwa kilometry po właściwej drodze.

Stają. Śmieją się wszyscy. Każdemu ściska barki i potrząsa im dłonie — serdeczna chwila.

Schodzi, słyszy za sobą „gute Reise”. Idzie rażno w świetle reflektorów, odwraca się, podnosi obie ręce. Autobus zakręca, odjeżdża. Zostaje na szosie sam, ciemno i pusto. Jest mu diabelnie dobrze, przepełnia go serdeczność wobec ludzi, wszystko w nim się śmieje. A było bardzo niedobrze, zdawało się, że w nocy nie wyjdzie z tego rozwlekłego miasta. Nie znając

tutejszego języka był jak niemowa. Teraz ma to już za sobą. Pełen radości nie zwraca uwagi na przejeżdżające samochody. Potem zatrzymuje je bez skutku. Nie gniewa się na kierowców. Z prawej strony szosy pali się kilka żarówek. Jakaś składnica materiałów budowlanych. Wyjeżdża z bramy wielka ciężarówka i zatrzymuje się przed szosą. Wtedy wskakuje do szoferki z sakramen-

139

talnym „przepraszam”, słowem czarodziejsko stwarzającym wszystkie możliwości. Wymawia je coraz lepiej. Kierowca podchwytuje: —
Proszę, proszę.

Znów pęd w ciemnej nocy po pustej drodze. Kierowca w średnim wieku, nieskory do rozmowy, spokojny. Czasami spogląda na niego. Zadowolony, że nie jest sam w tej ciemnej pustce. Wielka ciężarówka załadowana betonowymi elementami sunie z wielką szybkością, z niskim poszumem. Mijane osobowe woziki bzykają jękliwie jak muchy. Wielkie połacie lasów. Sennie. Z prawej strony trochę rozrzuconych świateł. Staje ciężarówka, kierowca patrzy na niego i uśmiecha się. Dowiaduje się, że do Gubina jeszcze z pięć kilometrów. Dziękuje i schodzi. Z dziesięć wysokościowców ciemnymi słupami

strzela w niebo. Nie ożywione, okna bez świateł. Stoją przestrzennie, z dala od szosy. Powstaje cała dzielnica. Przemyka kilka samochodów, nie reagują na jego zatrzymywanie. Przed nim w oddali światła. Spóźniona dziewczyna przechodzi na drugą stronę, by zejść mu z drogi. Idzie szybko, sprężyście, z obawą skręca głowę. Chce mu się śmiać, ale i przykro mu, że wywołuje bojaźń. Tak to już jest i nawet tu. Jak ją przekonać, że jest przyjazny. W jednej chwili pojmuję, że takie usiłowania najpewniej wywołałyby w niej strach, panikę. Znow jakaś para w objęciu, ledwo sunie. Ci rozkoszują się nocą. Jest czarna, ciepła, prawie jak w tropiku. Na drzewach nie drgnie ani listek. Zbite, nisko zawieszane chmury, zupełnie przesłaniają gwiazdy. Parno, aż ciśnie. Nachodzi go chwila senności. A gdyby sobie trochę pospał? Nie podoba mu się w

rowie. Trochę dalej wyrasta wysokie wzniesienie tuż przy szosie, na nim bujne żarnowce jak krzaki. Drapie się, ale schodzi z połowy wzniesienia z przekonaniem, że nie zasnąłby. A więc jeszcze nie jest wcale tak mocno zmęczony.

Chce mu się śmiać z siebie. A gdyby tak przejść przez Odrę do polskiego Gubina? Ale to jest małe urozmaicenie, po niemieckiej stronie jest bardziej obco, a więc i ciekawiej. Miasta jeszcze nie widać. Inna szosa odchodzi w las, z kilkoma światłami przy rozgałęzieniu, jest i drogowskaz na Eisenhuettenstadt i Frankfurt. Podchodzi bliżej światła, sprawdza mapę — pasuje jak najbardziej. Po drugiej stronie barak, drzwi otwarte na oścież, na progu siedzi para w intymnym objęciu, rozmarzona. Patrzą na niego i śmieją się, pewno z niego, że mu się chce tak włóczyć po nocy. Ruszył śmiało, minął kilka światel na słupach. Potem wchłonęła go noc. To rzeczywiście noc jak ciemne morze. Jest pusto i wszędzie ciemno. Czernią się zabudowania niby wioski, spostrzega jednak na przebiegającej drodze kilka światel. Nigdzie żywej duszy, ani szczekania psa. W niemieckich wsiach nie ma psów.

Idzie w ciszy, swobodnie, zupełnie sam. Nie czuje żadnego zmęczenia. Wszystko wydaje mu

się przyjazne. Rozkosz. Jest tak parno, że powietrze aż lepi się do skóry. Podwija rękawy koszuli dla przewiewu, ale nie ma ani tchnienia wiatru. Po pewnym jednak czasie zaczyna rosić. Siąpi deszczyk. Przechodzi wśród jakichś zabudowań, a tym czasem pada coraz mocniej. Nie wraca pod okap, idzie naprzód. Deszcz coraz większy. Wioska z jedną lampą przy mleczarni. Zatrzymuje się pod ścianą. Deszcz maleje. Ale, ledwo przeszedł zabudo-

141

wania, deszcz ponownie zabębnił rzęsiście na drodze.

To nic, trzeba iść naprzód. Pokazało się światło. Przyśpiesza. Dopada zabudowania w kształcie wieży, tuż przy torze kolejowym. Deszcz bije mocno. Zaczyna zacinać, zabiegł z drugiej strony. Po koronach wielkich dębów spływają kaskady. Chroni się pod schody, ale i tu zaczyna lać ciurkiem.

Wchodzi na piętro, drzwi zamknięte. Najlepsza jest w takiej sytuacji ściana zawietrzna, ale takiej nie ma. Przeleciał pociąg w tumanie pary. W przedziałach jasno, rozbawieni ludzie. Cóż dla nich ulewa, potęguje rozkosz jazdy. Deszcz jakby zmalął. Wychodzi spod wieży. Przeszedł tory. Zobaczył za sobą na szosie sylwetkę

mężczyzny pod parasolem. Po chwili usłyszał przy sobie głos. Brzmienie wydało mu się bardzo młode i przyjazne.

– Przepraszam cię, nie rozumiem — odpowiedział po angielsku.

– Mówię, że mamy złą pogodę — usłyszał wyraźnie po angielsku. — Idę do Eisenhuettenstadt, a ty?

– Tam i jeszcze dalej...

– Dokąd?

– Do Szczecina.

– Och — wydarło się szczerze, współczująco. Zauważył, że chłopiec ciągle trzyma parasol nad nim, odsunął mu delikatnie rękę.

– Uważaj na siebie — napomniął go.

Już tak jest, że deszczową nocą obcy ludzie nie mogą przejść koło siebie niemo, obojętnie. Stają się współtowarzyszami drogi. Chłopiec był ciekaw, więc pokrótce opowiedział mu swoją podróż.

– Przepraszam cię, ale ty chyba jesteś trampem
— chłopiec starał się go nie urazić.

– Jak najbardziej — utwierdził go wesoło.
Myślę, że to dobrze, jeśli człowiekowi od czasu
do czasu należy się trochę wody za kołnierz.

– Och nie! — zaprzeczył żywo. — Zawsze
winno być sucho i ciepło.

– To rozmiękcza i człowiek staje się do
niczego...

– Człowiek winien panować, stwarzać warunki.

– Nie zawsze to mu się udaje.
Ale chłopiec, jak na prawdziwego Niemca
przystało, obstawał przy swoim. Ciągłe nagiął
parasol, tak że musiał odsuwać mu rękę, by
chronił jego.

– Nieźle znasz angielski — stwierdził z
zadowoleniem.

– To ze szkoły. Zwracam uwagę na ten język.
Chcę być marynarzem. Po skończeniu średniej
pójde do szkoły morskiej.
Przystanął ze zdziwienia.

– A teraz wracasz z randki?

– Tak.

– Ładna jest...

– Jest cudowna...

– Że też chce ci się chodzić taki świat?

– Do niej nigdzie nie byłoby za daleko.

– Kochacie się?

– Tak — i jak tylko skończymy szkołę,
pobierzemy się.

– Och, to jeszcze dużo czasu — powątpiewał.

– Tak będzie. Już postanowiliśmy — głos
jego brzmiał pewnie, bez odrobiny wątpienia.
Zakochany chłopiec miał wielkie złudzenie o
trwa-

143

łości ich uczucia aż po wieczność. Złudzenie tak
wielkie, że stało się prawdą, a nawet więcej niż
prawdą. Nie było sensu rozwodzić się nad tym.
Cała jego siła w naiwnym złudzeniu i wierze —
była więcej niż mądrością.

– Życzę wam wielkiego szczęścia — starał się
wymówić z przekonaniem.

Chłopiec przyjął to ze skupionym milczeniem.
Znów odsunął mu rękę z parasolem, by chronił i
siebie. On, który tak lubił, aby było sucho i
ciepło, ciągle zapominał się z tym parasolem. W
lesie pociemniała droga. Szli uważnie, by nie
wpaść do rowu, ramię przy ramieniu, by lepiej
zmieścić się pod okapem parasola. Wyłoniły się
cienie sporych budynków, wsie są tu piętrowe.
Kiedy je przeszli, lunęło jak z cebra. Przyłgnęli
do grubego dębu. Przez chwilę było znośnie, ale
znów zaczęło ich oblewać jak z konwi. O jakie
sto metrów stał ostatni dom na wsi. Powiedział,

że lepiej by było pod ścianą domu, ale czy można przejść ogradzający płotek?

Chłopiec ruszył natychmiast. Podążył za nim.

Przez te kilkadziesiąt metrów oblało ich do gołej skóry. Pod domem odczekali aż zelżało i ruszyli z większą swobodą, nie chcąc bardziej przemoknąć.

– Zamknij parasol i odpocznij — radził chłopcu.

– Nie bije tak w oczy — odpowiadał.

Bez skutku zatrzymywali samochody. Chłopiec wymyślał swoim krajanom od tchórzów i egoistów. Po lewej stronie rozbłysło kilka świateł stacyjki. Chłopiec namawiał go, by skorzystali z kolei, ale odmówił. Uścisnęli sobie mocno dłonie i rozstali się.

Ruszył swobodnie, sprężyście. Ciągle miał w sobie

gorącą życzliwość chłopca. Piękny był ze swoją miłością i uczynny ze swoim parasolem aż do śmieszności. Czy nie warto było przejść tyle drogi, ażeby doznać tyle życzliwości?

Skąpy przyodziewek nieprzyjemnie kleił się do ciała i ziębił. Aby przewyciężyć to ruszył szybciej i to było wszystko, co mógł uczynić. Przenikał go chłód, ale on, coraz swobodniejszy, zapominał o utrapieniach. Zauważył światła samochodu. Kiedy był już blisko, przystanął i wznosił obie ręce. Ku jego radości samochód zwolnił. Gdy zbliżył się doń — zawarczał głośno i odjechał.

„A to kłamca” — pomyślał.

Przy następnym wyszedł na środek szosy i stał z podniesioną ręką. Samochód nie zwalniał. W ostatniej chwili uskoczył w bok. Samochód omal nie otarł się o niego i popędził z świstem. Miał dobrą nauczkę, że nie warto wymuszać zatrzymania. Na pustej, ciemnej drodze panuje absolutna bezkarność kierowcy. A jednak jak mało jest życzliwości ludzkiej.

Samochody nie pojawiały się, nie stwarzały pokusy, złudzeń. Szedł więc lasem w swobodnym, szybkim rytmie. Zagrzał się. Czuł w sobie ciepło, przyodziewek nie kleił się już do ciała. Parował jak koń — schnął. Radował się, że niedługo wyschnie. Ale wtedy właśnie runęła

z nieba zimna ulewa. Wokoło puste pole, małe przydrożne drzewka. Daremnie szukał schronienia. Ulewa napierała na niego ścianą wody.

W chwili bezradności stanął na drodze. Mimo że bliższy płaczu, na przekór uśmiechnął się.

Właśnie na złość; naprzeciw całemu złemu światu. Otworzył szerzej zalewane wodą oczy i ruszył naprzód. Niebo

145

otwierało się ogniem grzmotów, zygzaki błyskawic oświeślały mu drogę, bawiły demoniczną iluminacją. Pioruny biły w pagór, który miał przejść. Zobaczył za sobą wolno zbliżające się światła. Kierowca oślepiiony ulewą jechał po omacku. Podniósł rękę! Samochód zatrzymał się. Podbiegł, kobieta z przedniego siedzenia otworzyła drzwi, ciągle trzymała je, jakby broniła przed wdarciem się do wnętrza i wołała:

– Was ist los?

Nie rozumiał i nie odpowiadał. Kobieta krzyczała coraz głośniejszym głosem. W jej tonie brzmiało zjadliwe pytanie.

– Too much rain — wymówił, by coś powiedzieć.

– Was ist los? — napierała w coraz większym

zdziwieniu.

– Rain, too much rain — powtórzył wolno, dobitnie.

– Ach, Regen! — zaśmiała się.

Kierowca zaburczał ze złości. Trzaśnięcie drzwiami i odjechali.

Stał ucieszenie zdziwiony. „Twardzi ludzie” — pomyślał. „Karaluchy, nie ludzie”. No cóż, udzielniali go. Ruszył dalej. Znów las. Tuż przy rowie stała wielka, czubata wywrotka, bez żadnych świateł. Otworzył drzwi. Skulony kierowca obudził się nerwowo, przestraszony zatrzasnął drzwi. Próbował otworzyć, ale były zaryglowane.

Ruszył zwawo. Samochody prawie nie pojawiały się. Nie próbował zatrzymywać. Ludzie bali się. Niektórym sprawiało to chyba radość. Opanował noc, burzę, drogę, strach przed nimi. Cóż trzeba więcej? Parł naprzód, na północ. Pełne uczucie swobody i wypływająca z niej radość głęboko tkwiły w nim, wypełniały

go całego. Dożył się z niego śpiew bez słów niosący wyzwanie.

Powłoka chmur wypełniała niebo. Deszcz padał stale w różnym natężeniu. Ciągłe nie było widać Eisenhuettenstadt, ogromnej huty jak nasza „Lenina”. Długo przecierał się brzask, zanim nastał siny ranek. Odmieniło się szczęście. Teraz wzięła go jakaś bagażówka, dwóch chłopaków na szybki samochodzik bez przedniej szyby.

Dygotał z zimna, ale i schnął w tym przewiewie. Potem rozwlekły Frankfurt przebył tramwajem.

Jakiś stateczny mechanik podwiózł go do Seelow. Potem z nauczycielem języka

angielskiego nagadali się za wszystkie czasy.

Nauczyciel mieszkał w dużej wsi koło Friezen, tam przygotowywał młodzież do matury z języków i przedmiotów humanistycznych.

Budował willę, nosił się z zamiarem

powiększenia swego „Instytutu” o nauki

przyrodnicze. Był to starszy, wytworny pan,

prowadził lekko duży wóz. Wyrzucił go w

Eberswalde Finow. Ciężarówką zajechał aż do

Schwedt, bagażówką do nowego miasta

zabudowanego przestrzennie wysokościami

z dużym parkiem od północy.

Był już przy granicy. Miało się koło południa,

słonecznie, ze spiekotą. Wszystko wyschło na nim na pieprz — sama rozkosz. Ściągnął sweter, dunkry przytroczył do chlebaka. Wciągnął krótkie spodenki i ruszył szybkim krokiem. Samochodów nie było wiele, wszystkie kierowały się ku autostradzie.

Zabrało go młode małżeństwo z pięcioletnią córeczką. Siedział z nią z tyłu, wśród zabawek, obrazków, książek. Śliczna córeczka pokazywała mu swoje skarby, próbowała uśmiechać się do niego z intrygującą powagą

147

jak mama, zwrócona do nich z pierwszego siedzenia. Małej damie prawił po angielsku komplementy i chwalił ją. Nawet ojciec spoglądał od czasu do czasu, wszyscy bawili się. Małeństwo było pełne swobody i uroku. Zagrała mu kilka melodii na cymbałach, potem na fleciku. W zabawie była cudownym dzieckiem. Spostrzegł, że ojciec uważnie przypatruje się mijającym ich wozom. Wyprowadził prosto na autostradę, zatrzymał się i oznajmił, że jedzie z powrotem. Podziękował mu serdecznie, damy ucałował w rączki i rozstali się w spontanicznej radości.

A jednak ojciec tej pięknej rodziny wydawał mu się uważnym obserwatorem pasa granicznego.

Tu wozów było niewiele, a i te nie chciały go zabrać. Z krajanami, bo oni przeważnie tu jeździli, było gorzej niż z Niemcami. Długo szedł, nim zabrała go polska rodzina. Młoda mama chętnie przesiadła się na tył do babci z córeczką. Był pewien, że to ona przekonała rodzinę, by zabrali włóczęgę. Ojciec zupełnie zajęty wozem, a babcia miała dumną minę z zagranicznego wojażu. Szybko wskoczyli na autostradę i przebyli punkt graniczny w Kołbaskowie. Ojciec popędzał do pobliskiego domu. Zszedł w śródmieściu przy Alei Piastów. Ładnie podziękował całej rodzinie, a najpiękniej mamie.

Wolno szedł do domu, jakby chciał przedłużyć włóczęgę. Dwie bezsenne noce. Prawie doba na drodze. Bez jedzenia, trochę wody. Mimo powszedniego dnia Szczecin wydawał mu się odświętny, ludzie bliscy, prawie przyjaźni. Ciągle miał w sobie upojenie z nocnej burzy. „Jeszcze raz” — zadźwięczała w nim melodia Lehara. Czuł w sobie moc, jakby młodość trąciła go skrzydłem. Bo młodość jest zawsze skrzydlata.

SPIS TREŚCI

Guadalajara! Guadalajara! 5

„Pole” 22

Singsiarz 36

Oceany 50

Kaczy dół 78

Gorzała 93

Wspólnota 106

Jeszcze raz... 111

Jan Papuga (1915—1974) pochodził ze wsi Zbyszek pod Piotrkowem Trybunalskim. Przed wojną pracował jako robotnik w przemyśle łódzkim, należał wówczas do Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. Od 1935 r. służył w Polskiej Marynarce Wojennej, również podczas wojny pływając na statkach polskich i alianckich. Zadebiutował w 1944 r. na łamach „Wiadomości Polskich” w Londynie. Po powrocie do kraju mieszkał w Łodzi i Szczecinie. Do 1952 r. pływał na statkach handlowych. Laureat Nagrody Literackiej m. Szczecina. Wydał zbiory opowiadań: *Szczury morskie* (1946), *Guadalajara! Guadalajara!* (1965), *Rio Papagaio* (1969), *Oceany, oceany...* (1975).

Cena zł 35.—

ISBN 83-08-00941-7